Nr. 33. Warszawa, dnia 13 (1) Sierpnia 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZUŻYTY.

Dla ludzi próżnych, pragnących tylko ozdobić się wysokiem dostojeństwem, godność prezydenta wielkiej Rzeczpospolitej jest rozkosznem, spełnionem lub niespełnionem marzeniem. Tytułować się głową potężnego państwa, mieć świetny dwór i przywileje monarsze, pochylać głowy mas samym swoim widokiem — czyż to rola nie nęcąca? Inaczej wszakże patrzą na nią ludzie poważni, zwłaszcza tacy, którzy czują w sobie energię czynu i dążą do jakichś celów. Gdyby zasiedli na tronie, staraliby się zużytkować tę energię i osiągnąć te cele; ale co poczną, zasiadłszy na fotelu prezydyalnym, który jednocześnie zobowiązuje ich do działania i niedziałania? Jak się zachować, ażeby ciągle być czemś i niczem? Tę sfinksową zagadkę musi codzień rozwiązywać prezydent Rzeczpospolitej francuskiej. Konstytucya powiada: będziesz sterował nawą państwową, ale nie wolno ci prowadzić jej w żadnym określonym przez siebie kierunku; będziesz najwyższym zwierzchnikiem kraju, ale nie wolno ci wtrącać się bezpośrednio w jego sprawy; będziesz strzegł dobra powszechnego, ale nie wolno ci postępować według własnych o niem przekonań — itd. Słowem, masz być najwyższą cyfrą w sumie narodu i bezwzględnem zerem. Pomimo że znajdują się ludzie, umiejący pływać między tą Scyllą a Charybdą, każdy logiczny umysł przyznać musi, że w podstawie ich urzędu spoczywa zasadnicza sprzeczność praw i obowiązków. Gdybyśmy republikanów francuskich wybadali sposobem sokratycznym w dniu wyboru głowy państwa, jaki, według nich, ma być „pierwszy obywatel Rzeczpospolitej,“ z pewnością odpowiedzieliby nam, że powinien to być człowiek najuczciwszy i najzdolniejszy, jeżeli można — genialny. Kiedyż zaś jest zdolny lub genialny polityk, mąż stanu? Kiedy w działaniach swoich jest twórczy, oryginalny, energiczny, reformatorski. A właśnie tych wszystkich przymiotów nie powinien posiadać a przynajmniej ujawniać prezydent Rzeczpospolitej. Więc lepiej, ażeby był istotą bez przekonań, bez zdania, ślepym wykonawcą uchwał parlamentu i ministrów? Na to również nie zgodziliby się przedstawiciele narodu. Wiążąc sprzeczności, przystaliby może, ażeby on był faktycznie wielkim, lecz ażeby wszyscy widzieli go małym.

Łatwo z tych przeciwieństw wyciągnąć prosty i ciągle sprawdzający się wniosek, że żaden prezydent Rzeczpospolitej nie może długo zadawalać swych ziomków, gdyż albo będzie jednostką wybitną i wtedy zadrażni ich uczucia republikańskie, albo niedołęgą — a wtedy znowu zniecierpliwi ich swoją nieudolnością.

Jakim jest Carnot? Nie stoi on ani na jednym, ani na drugim krańcu, nie jest ani geniuszem politycznym, ani manekinem. Ta średniość uzdolnień sprawiła, że dotąd nie naraził się zbytecznie w żadnym kierunku. Wyuczył się doskonale utrzymywania równowagi konstytucyjnej i zachowywał ją, a ponieważ przytem jest człowiekiem rzetelnie uczciwym, spokojnym, niemającym żadnych gwałtownych pragnień i śmiałych planów, więc grał swoją rolę umiejętnie. Ale nawet największa umiejętność nie zapewni powodzenia na długo wobec sprzecznych żądań dwu stron, z których jedna — żywioły umiarkowane i konserwatywne — wymaga większej energii, a druga — radykalna — większej bierności. Nadto i prezydent Rzeczpospolitej, i Carnot jest człowiekiem, mającym swoje przekonania, jest obywatelem kraju, pragnącym występować czynnie w jego sprawach. Gdy wszyscy w nich uczestniczą, niepodobna, ażeby on sam tylko, nominalnie „głowa państwa,“ był niemym świadkiem biegu rzeczy i nawet delikatnem chuchnięciem nie starał się go zwrócić w kierunku pożądanym. Jak rzekliśmy, Carnot powściągał się od wpływu na rządy kraju z zadziwiającą skromnością, od czasu do czasu wszakże nie mógł wytrzymać na stanowisku martwej figury i leciuchno oddziaływał na tę lub inną kwestyę. Tak np. przypisują mu — nie wiadomo, czy słusznie — inicyatywę i wpływ w zbliżeniu się Francyi do Watykanu. Inicyatywa i wpływ prezydenta — są to w oczach republikańsko-konstytucyjnych przewinienia ciężkiego kalibru. Ponieważ karcicielami takich grzechów są przedewszystkiem żywioły radykalne, więc one też uderzyły na Carnota. Chociaż do skończenia urzędu pozostaje mu jeszcze dwa lata, już dziś w pismach tej barwy podnoszona jest możliwość innego następcy, a nawet rozbierany projekt uzupełnienia konstytucyi przepisem, zabraniającym ponownego wyboru tej samej osoby na godność prezydenta. Carnot jest już „zużyty,“ wykoleił się z toru rządów ściśle parlamentarnych, prowadzi intrygi, ma napady autokratyczne. Właściwie nie jest on ani zużytym, ani intrygantem, ani autokratą, otrzyma zaś te przydomki każdy po nim, kto nie będzie bezwzględnem zerem. Wtedy jednak posypią się na owego manekina zarzuty z drugiej strony, oskarżające go o niedołęstwo—i tak trwać będzie ciągle, dopóki prezydentura nie przestanie być sztuką chodzenia po linie, tańcem śród mieczów, balansowaniem śród sprzeczności, wymagających, ażeby ją piastował człowiek w narodzie najlepszy i najzdolniejszy, któryby wszakże nie robił użytku ani ze swych cnót, ani uzdolnień.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Gdy po nowych wyborach większość parlamentarna przesunie się na inną stronę, zmiana gabinetu ministeryalnego dokonywa się w angielskiej Izbie gmin następującą sceną zwyczajową: opozycya, która otrzymała przewagę, wnosi, ażeby w adresie do królowej oświadczono, iż przedstawiciele narodu pragną widzieć taki rząd, któryby posiadał zaufanie ich większości. Wtedy „premier" stojący u steru wręcza królowej swoją dymisyę, zdaje służbę następcy, pakuje manatki i wynosi się z ministeryalnego pałacu. Scena ta już się rozpoczęła, ale ponieważ Gladstone nie ma większości jednolitej, lecz złożoną z rozmaitych żywiołów, które mogą każdej chwili odpaść i wytworzyć w jego obozie mniejszość, więc toczy się walka próbna, w której każdy zastęp usiłuje jak najbardziej pociągnąć za język sprzymierzeńców i przeciwników dla wyjaśnienia wzajemnych stosunków. Konserwatyści, ustępując z pola, przepowiadają dowódcy liberałów, że on albo przegra bitwę, albo zwycięztwem unieszczęśliwi kraj (Anglię). Rozumie się, wszyscy następcy w przekonaniu poprzedników sprowadzają nieszczęścia.

Cesarz niemiecki powrócił z Anglii, gdzie zdaje się więcej myślał o wyścigach na morzu, w których przyjmował (z niepowodzeniem) udział, niż o polityce. W każdym razie z Gladstonem się nie widział, a niepodobna przecież było wchodzić w jakieś porozumienie z rządem angielskim, ominąwszy tego, który wkrótce obejmie naczelną władzę. Po powrocie Wilhelma II może senna polityka niemiecka nieco się ożywi. A nawet już się ożywiła. Minister spraw wewnętrznych, Herrfurth, otrzymał dymisyę, a jego tekę objął dotychczasowy prezes ministrów pruskich, hr. Eulenburg, który nie posiadał żadnej. Kto Herrfurtha wysadził z siodła: czy konserwatyści, którzy go nienawidzili za ordynacyę gminną, czy też minister skarbu Miquel, który miał spotkać w nim upartego przeciwnika swych projektów podatkowych — nie wiadomo.

Telegram przyniósł ogólnikową pogłoskę, że rząd niemiecki opracowywa projekt nowego układu stosunków handlowych z Rosyą. Ponieważ *Fremdenblatt* austryacki nie okazuje w tej sprawie żadnego niepokoju, widocznie chodzi tylko o niewinne poprawki w traktacie dotychczasowym.

Uroczystość Kolumba we Włoszech dała powód do bijatyk między katolikami a liberałami, albo raczej między poddanymi papieża i króla. Na Monte Pincio (rodzaj naszego Saskiego ogrodu) w Rzymie przyszło do gorszącego starcia, które stłumiono siłą zbrojną.

Na wielki obchód w Genui król włoski przybędzie 7 września i będzie powitany przez okręty wszystkich flot europejskich.

Wybory do rad generalnych we Francyi dały republikanom 195 nowych miejsc.

Niejaka pani Séverine, radykalistka, ogłosiła w *Figarze* rozmowę swoją z papieżem o rozmaitych rzeczach, a między innemi o antisemityzmie. Dzienniki watykańskie zaprzeczają wiarogodności jej sprawozdania, ona zaś twierdzi, że przed wydrukowaniem poddała je cenzurze papieskiej, która usunęła tylko 50 wierszy.

BADANIA NAUKOWE.

POMYSŁY FALBA

W ŚWIETLE KRYTYKI NAUKOWEJ.

(Dokończenie).

Teorya wulkaniczna i trzęsień ziemi Falba polega na przypuszczeniu ognisto-płynnego wnętrza ziemi; Falb stawia tu następujące twierdzenie: 1. Ziemia była niegdyś płynna. 2. Skrzepnięcie ziemi odbyło się skutkiem oziębienia. 3. Część masy ziemskiej jest dotąd płynna i gorąca. 4. Wulkany temu właśnie stanowi ziemi zawdzięczają swój początek. Punkta 1 i 2-gi nie wymagają uwag zawierają bowiem prawdy oddawna w nauce uznane. Co do punktu trzeciego zaś, to jest co do tego, że wnętrze ziemi jest dotąd jeszcze płynne i gorące, to w nowszych czasach badania astronomów i fizyków podały tę prawdę w wątpliwość. Thomson, obliczając wysokość fali przypływowej oceanicznej, przyszedł do przekonania, że odnośna deformacya stałej masy ziemskiej (pod przyciągającym wpływem księżyca i słońca) nie jest większa od tej, jakiej ulegałaby ziemia, gdyby złożona była cała ze szkła lub stali. Przytem fizyka uczy nas, iż wysoka temperatura wnętrza niekoniecznie wymaga stanu płynnego, albowiem ze zwiększaniem się ciśnienia w głębi ziemi temperatura topliwości skał ulega też podniesieniu; spłaszczenie ziemi też nie może służyć za dowód płynności wnętrza, jak to błędnie niektórzy podają, albowiem prof. Cellerier z Genewy dowiódł rachunkiem, że nawet wtedy gdyby cała ziemia składała się z materyi stałej, to i tak musiałaby się spłaszczyć wskutek wirowania. Ze względu na potrzebę wyjaśnienia wulkanizmu Reyer przypuszcza, że magma w miarę zwiększania się ciśnienia ku wnętrzu ziemi traci swą ruchliwość, zbliża się do stanu stałego. Wprawdzie Falb sądzi, że przypuszczenie takiego wnętrza ziemi zgęstniałego wskutek ciśnienia da się pogodzić z jego teoryą: według niego to zgęstniałe wnętrze może wysyłać płynne masy w kanały ziemskiej skorupy; ale istnienie takich głęboko sięgających kanałów jest nieprawdopodobne z tego względu, że skały w głębi pod wielkiem ciśnieniem nabierają własności plastycznych, a nawet blizko powierzchni leżące porzucone przez człowieka kamienie i topiele zasklepiają się z czasem. Przytem siła wywołująca przypływy jest zbyt małą, aby mogła wywołać skutki w sensie Falba: wiadomo, że wysokość fali przypływowej na otwartym oceanie wynosi tylko parę stóp; okoliczność ta wraz z prawdopodobieństwem znacznego stwardnienia ziemi czyni teoryę Falba niepodobną do przyjęcia. Ale gdybyśmy nawet trzymali się hipotezy o cienkiej twardej skorupie i ograniczeniu się płynnem wnętrza, to i tak rachunek wykazuje zbyt małą różnicę poziomu między przypływem i odpływem takiego płynnego wnętrza: wynosi ona tylko około $^1/_3$ metra. Wyjątkowe wysokości przypływów morskich w niektórych miejscach są wywołane ściśnieniem fali przypływowej między zbieżnemi brzegami lub wzniesieniem dna, dla ognisto-płynnego

---

12)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

26 czerwca, 85.

Tu kończą się owe notatki. Następuje milczenie, donośnego znaczenia milczenie. Marzyłem o szczęściu śmiałych; w rzeczywistości szło o głupotę i porażkę. Z gniewu przez parę dni kąsałem się w język. Coś tak niezaradnego, idyotycznego: osypać dziewczynę banalnymi frazesami sztubaka... „zupełne koleżeństwo," „być z sobą, póki się da," „dzielić się wszystkiem..." wystraszyć ją tak, jak mały chłopczyk wystrasza ptaszę, które chce pochwycić, zamiast poprostu — tak, ale o tem wie się później...

Mężczyzna jest zwierzęciem śmiesznem. Potrafi obłaskawić pioruny, obliczyć drogi komet, lecz obliczyć, w jaki sposób chwyta się takiego ptaszka — dziewczynę...

Tak, jeżeli to ptak, z którego sobie człowiek nic nie robi! Wtedy schwytać go nie trudno; ptaszę przypadnie do ciebie, jak napół żywe kurczątko. Lecz dziki, wolny ptak, rzadki, cenny... myśliwy dostaje nagle bicia serca i traci głowę. Spostrzega, że ptak śpiąc spoczywa na wysokiem drzewie; co tchu spieszy więc, potrząsa drzewem, sądząc, że ptak spadnie do stóp jego, niby owoc dojrzały; kiedy zaś wystraszony ptak z krzykiem znika w gąszczu leśnym, „inteligentny" myśliwy staje, gryząc się w język.

Całe zakochanie zagasło na jakiś czas w ogromnym, zimnym wstydzie, który po niem nastąpił. Aby módz kochać, należy posiadać pewną próżność — wiarę w możliwość wzajemnej miłości; lecz w owych dniach nie więcej miałem próżności od psa zmokłego. Bo czułem właśnie, że ona pogardza mną, pogardza — moją i swoją pogardą, a więc pogardą potrójną. Tu niema już miejsca na uczucia zbytkowne. Chodziłem, jakby wyzuty ze społeczeństwa, jak jednostka — obca. Komiczna to figura taki człowiek, kręcący się ciehaczem z ogonem wciągniętym między nogi, dlatego, że popełnił czyn, którego *nie* popełnić nie mógł! Lecz mężczyzna, który spróbował i został odrzucony, jest stanowczo najnędzniejszą istotą świata.

Naturalnie poszedłem w odwiedziny do panny Berner. Łaknąłem kobiety, która by mnie szanowała, kobiety, dla której byłem jeszcze mężczyzną, dla której byłem nieupokorzony. I przylgnąłem do niej z pewną serdecznością, niby ranny, który potrzebuje opieki, niby nędzarz, który prosi o kącik — o kącik wewnątrz pokoju — za piecem. Potem rozbudziła się we mnie moja odwaga moralna; podniosłem się z upadku, uczułem się znowu na właściwym moim poziomie — na wyżynach wykształcenia, na wyżynach, między wybranymi. Poczem znowu wystąpiła miłość... silniej, niż kiedykolwiek.

Wysłałem był list, przeklęty list, w którym udawałem obojętnego... o owym „idyotycznym pomyśle" wspomniałem, jako o niedorzeczności chwili, żegnałem ją z wyszukaną obojętnością, donosząc zarazem, że mam zamiar ożenić się z inną, z „inteligentną damą." Prócz kłamstwa była w tem dobra dawka nizkiej zemsty. Bo czyż istnieje coś niższego, podlejszego od upokorzonego w męzkiej próżności *masculinum!*

Idyotyzm za idyotyzmem. Listem tym zerwałem więc ostatni most między nią a mną, zamknąłem sobie, o ile tylko można było, drogę do powrotu, niby myśliwy, który gniewny o to, że strzałem tym zapędzi ptaka jeszcze dalej w głąb lasu.

Słyszałem dziś od przyjaciela, że zaręczyła się, że „sprzedaje się" jakiemuś zamożnemu starcowi. Bezwarunkowo postępek rozumny, naturalnie. Nie spodziewałem się nawet po niej tyle rozumu. Dziś nie umierają z miłości, dalibóg, nie! Mimo to siedzę tu taki kwaśny, że aż sam kwaśność tę czuję. Dziwna, bezpomocna ociężałość. A wśród niej przytłumiony, szalony ból.

Przepadło.

Nienawidzę panny Berner. Ona była ową czarownicą, która mi na sen zadała; gdybym w ową noc czwartkową był czuwał — księżniczka nie byłaby mi uszła z powności.

Pjolteru, jeszcze pjolteru! Wódka i małżeństwo z rozumu — oto twój fach, ośle! Dla

wnętrza warunki te naturalnie nie istnieją. Tak więc teorya Falba i tutaj nie znajduje potwierdzenia.

3. *Trzęsienia tektoniczne lub dyslokacyjne.* Do tej kategoryi należy największa liczba trzęsień ziemi, występują one w tych miejscach ziemskiej skorupy, gdzie warstwy uległy mniej więcej silnym zmianom położenia (dyslokacyom). Trzęsienie tektoniczne rozchodzi się nie promieniste z pewnego centrum, jak wulkaniczne lecz linijnie i są wyrazem dotąd trwających dyslokacyj. Głębokość, z której te trzęsienia wychodzą, nie jest znana: wiele trzęsień w kopalniach nie daje się uczuwać lub przynajmniej występują one tam słabiej niż na powierzchni ziemi; do znacznych głębokości trzęsienia ziemi sięgać nie mogą, albowiem skały stają się tam coraz plastyczniejsze i wskutek tego są złemi przewodnikami ruchu. Szybkość rozprzestrzenienia się trzęsień ziemi jest wogóle nie o wiele większa od szybkości głosu w powietrzu (330 m.), lecz zwiększa się lub zmniejsza stosownie do natury skał, ich położenia i siły wstrząśnienia. Trzęsienia tektoniczne są wyzwoleniem się napięcia powstałego w warstwach blizkich powierzchni ziemi i dlatego ograniczają się prawie wyłącznie do okolic górzystych. W krajach z warstwami wcale lub mało zdyslokowanemi, jak np. w Niemczech północnych, Rosyi i Syberyi zachodniej, trzęsienia ziemi są rzadkością; podobnież rzadko zdarzają się one w górach starych, „zamarłych," tj. takich, których proces tworzenia się już jest ukończony, jak np. Alegany, góry Anglii i Skandynawii. W Alpach trzęsienia zdarzają się też najczęściej w obszarze młodszych sfałdowań; w pasie centralnych granitów i gnejsów są one rzadsze. Wszystko to wskazuje związek trzęsień ziemi z siłami górotwórczemi i z teoryą Falba nie da się pogodzić.

Przechodzimy teraz do *rozkładu trzęsień ziemi* w czasie i do *statystyki trzęsień ziemi Falba.* Z zestawienia trzęsień ziemi dokonanego przez Fuchsa wynika, że nie ma dnia ani godziny bez wstrząśnień i można bez przesady twierdzić, że powierzchnia ziemi w każdej chwili w jakiemś miejscu ulega wstrząśnieniom, nie mówiąc już nawet o tych niezliczonych drobnych wstrząśnieniach dostrzegalnych tylko przy pomocy bardzo subtelnych narzędzi. Że przy tak wielkiej częstości trzęsień ziemi zdarzyć się one muszą i w tych chwilach, w których chce Falb, to jest podczas pewnych stanowisk księżyca i słońca, to naturalnie nikogo dziwić ani obowiązywać nie powinno. Przypatrzmy się jednak bliżej statystyce Falba, nad którą pracował on od 1868 roku z olbrzymim wydatkiem sił i z taką namiętnością, jaka zwykle tylko u apostołów religijnych daje się napotykać. Falb porównał najważniejsze trzęsienia ziemi, jakie zapisała historya ze stanowiskami księżyca i znalazł, że największa częstość trzęsień przypada na styczeń, następnie maleje, lecz w kwietniu wznosi się do drugiego maximum, aby znów w czerwcu spaść do absolutnego minimum. W sierpniu częstość trzęsień dosięga słabego, w październiku zaś silnego maximum, w listopadzie częstość spada, aby w grudniu znów się zacząć wznosić i w styczniu dosięgnie wspomnianego maximum. Falb posługiwał się przytem katalogami trzęsień Malleta, z którego, zaczynając od 800 aż do 1842 roku, naliczył 5,500 dni trzęsieniowych dla półkuli północnej. Prócz tego podczas swej południowo-amerykańskiej podróży obserwował rozkład trzęsień na półkuli południowej i przyszedł do przekonania, że rozkład jest tu taki sam, jak i na półkuli północnej, a więc że okazuje też maximum w styczniu, a minimum w miesiącach letnich. Gdy jednak prof. Hoernes zadał sobie pracę graficznego przedstawienia rzeczy (za pomocą krzywej procentowej) owa zgodność widziana przez Falba okazała się złudzeniem.

Wogóle procentowe liczby dni trzęsieniowych oznaczone przez Falba dla poszczególnych miesięcy nie wiele się różnią od przeciętnej; jeżeli zaś wciągniemy w rachubę większą liczbę dni trzęsieniowych, to suma zboczeń od przeciętnej miesięcznej, wbrew twierdzeniu Falba, zmniejsza się i przy dostatecznej ilości materyału wciągniętego w rachubę stałaby się prawdopodobnie zerem. Dalej twierdzenie Falba, że w kwietniu (po porównaniu dnia z nocą). następuje maximum częstości trzęsień podobnie jak w styczniu i październiku jest zupełnie bezpodstawne: częstość trzęsień w kwietniu i marcu pozostaje poniżej cyfry przeciętnej, jak to wynika z zestawienia trzęsień od 800—1842 r.; tym sposobem wiosenne porównanie 21 marca nie wpływa na zwiększenie częstości trzęsień, podczas gdy po porównaniu jesiennem (23 września) następuje zdaje się zwiększenie. Tak więc z siedmiu czynników przypływowych wymienionych przez Falba, a mianowicie: 1. Blizkość słońca (1 stycznia). 2. Blizkość księżyca. 3. Syzygie (now i pełnia). 4. Równikowe stanowisko słońca (21 marca i 23 września). 5. Równikowe stanowisko księżyca. 6. Kwadry. 7. Stanowisko księżyca na ekliptyce, — z tych siedmiu czynników przypływowych czwarty, t. j. stanowisko równikowe słońca (dnie porównania wiosennego i jesiennego), nie może mieć żadnego znaczenia dla częstości trzęsień ziemi. Nawiasem mówiąc, i szósty czynnik Falba, kwadry, w czasie których linia idąca od ziemi do księżyca schodzi się prawie z linią siły odśrodkowej wywołanej przez wirowanie ziemi i to ma wywołać wzmocnienie przypływu, czynnik ten nie może mieć znaczenia, ponieważ przeciwdziała mu wtedy czynnik silniejszy, mianowicie słońce, które w czasie kwadr wywiera na przypływy i odpływy działanie sprzeczne z działaniem księżyca. Zresztą zdaje się, jako to trafnie zauważył Hoernes, że twierdzenie o wpływie kwadr na przypływy tylko na to zostało przez Falba postawione, „ażeby i owe trzęsienia ziemi, które są tak niegrzeczne, iż występują w czasie kwadr, wcisnąć w ramy swej teoryi."

Dalej statystyczne zestawienie trzęsień w Niższej Austryi (Suess), Karyntyi (Hoefer) nie potwierdzają procentowej krzywej Falba z trzema maximami, tylko maximum styczniowe się potwierdza, zdaje się więc, że trzęsienia są częstsze w miesiącach zimowych, niż w letnich, to jest częstsze w perihelium niż w afelium; lecz czy tutaj wpływa rzeczywiście blizkość słońca, czy tylko nizka temperatura, to trudno rozstrzygnąć. Lecz gdyby nawet pierwsze przypuszczenie było prawdziwe, to jest gdyby wzmożenie przyciągania słonecznego w zimie wpływało na zwiększenie częstości trzęsień, to i tak należałoby to uważać tylko jako ułatwienie w wyzwoleniu się siły napięcia w warstwach kurczącej się ziemi, nie zaś jako *przyczynę* trzęsień.

Przytem Falb pozwala sobie czasem nie

---

wielkiego rozgrzania, dla całkowitej błogości — dla nich nie jestem stworzony. Jestem połowicznikiem — człowiekiem przyszłości; za wiele mózgu, za mało krwi. Kiedy zbliża się moja księżniczka, wyjmuję lornetkę i przyglądam się; skoro zaś odkryję błąd w jej fryzurze lub nić pajęczą na jej sukience, nić pajęczą, która się jej uczepiła, kiedy przedostawała się przez jamę, prowadzącą do mego zamku — natenczas krzywię się i pozwalam jej odejść. I wracała przez trzy wieczory czwartkowe i za każdym razem puszczałem ją... żeby dyabli wzięli pannę Berner razem z jej małżeństwem rozumowem!

— Tak skończyła się moja bajka. *Edite, bibite, collegiales; post multa saecula pocula nulla.*

* * *

Brak ochoty do pisania. I tak nie będzie z tego powieści. Mdłe zakończenie...

Tylko kiedy niekiedy ulżę sobie. Czasem miewa się przecież potrzebę wyśmiania się z samego siebie, powiedzenia sobie: giz-giz... Beczenia.

* *

Czekają mnie złe czasy. Ha, ponieważ nieodwołalnie zniknęła, w takim stopniu wszystko mi...

A życie jest mi teraz jeszcze więcej czarną puszczą lodową; za urwiskiem czeka — „kostusia." Mrok, najsilniejszy mrok, a wśród niego łzy i zgrzytanie zębów.

„Halucynacye" zaczynają prawie obawę we mnie budzić. Każdego wieczora, kiedy w domu całym zalega cisza, ona cichym krokiem wślizguje się po schodach. Słyszę ją wyraźnie. Naprzód na schodach, potem na korytarzu. Nie puka. Staje tylko; słucha, czeka, tłumi łkanie. Czuję ją tak wyraźnie, że chwytam czasami lampę i biegnę przekonać się, czy jej niema. Ale kiedy spocznę w łóżku, słyszę jej tchnienie tu w pokoju. . . . .

. . . .

II.

8-my lipca.

Dzisiaj odbył się ślub Bjölsrika. Młodzi prosto z uczty weselnej udali się na pokład statku Hâvre. Szczęśliwcy zamieszkają w Paryżu.

Jednak smutno. Przyjaźń nasza w ostatnim czasie zeszła wprawdzie trochę na psa, zaprawiła się trochę spirytusem; lecz jednak i on był pociechą, zbawcą w niedoli, ostatnim punktem wyjścia. Pustki, coraz większe wokoło mnie, pustki. Wkrótce pozostanę sam, zupełnie sam.

Nie mam odwagi.

Szczęśliwy stary kawalerze, żeś się ożenił. Jednym przyjacielem, który w chwilach przykrych nie opuszcza cię, jest własna żona. Młoda, świetlana istotka, którą dziś przykuł do siebie, aby nigdy nie być już samotnym — przypomniała mi trochę Fanny. Wpadłem w nastrój sentymentalny. Siedziałem, przy stole weselnym, udając, że jem, połykałem łzy, połykałem — gorzkie łzy starego kawalera.

Sam ślub wzruszył mnie. Te stare historye nie są jednak takie głupie. Stary, miły Sven Brun mówił prosto a pięknie, a i sama formułka ślubna jest ładna. Naiwna, szczera, staromodnie ufność budząca. Język biblijny brzmi niby wspomnienie z lat dziecinnych, niby cichy, święty głos z dalekich czasów, głos ojców, starych, mądrych. Wszystko jest tam powiedziane z taką serdeczną otwartością, z ojcowską surowością i łagodnością zarazem; człowiek milknie, doznaje wzruszenia, staje się czystym w myśli. „W pocie czoła spożywać będziesz chleb twój... Ciernie i głogi udziałem twoim będą... póki nie staniesz się prochem; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz. W bólach rodzić będziesz dzieci twoje, pragnieniem twojem będzie mąż twój, on jednak panem twoim będzie." Tak przemawia Bóg-Ojciec z wysokości chóru, przemawia spokojnie, a słowa jego są niby przeznaczeniem brzemienne, nieodwołalne. Z pewnym rodzajem wewnętrznego zgorszenia pomyślałem, że ta drobna „nowoczesna" narzeczona w myśli krzywiła się może na tę mądrość ojców... Ci płytcy ludzie teraźniejszości z tym ich brakiem poczucia religijnego są poprostu nieznośni.

Potem odezwały się organy, poważnie i miękko, niby pełna szacunku odpowiedź na wysokie słowa boże. Rozpłynął się falą śpiew milionów dusz, śpiew stuleci, wiara praojców i pogodzone, zrezygnowane pojęcia życia rozpłynęły i wzniosły się ku sklepieniu prostymi, wielkimi akordami. Czułem się podniesiony na duchu, oczyszczony; potężne, łagodne wzruszenie wypełniło mi

wciągać do swojej statystyki tych trzęsień, które są niedogodne dla jego teoryi, a dla jeszcze większego udogodnienia, dla wciągnięcia jaknajwiększej ilości trzęsień w zakres swych dni maxymalnych ucieka się Falb do *przyśpieszenia* i *opóźnienia* trzęsień o 3—5 dni, z powodu że tu następuje sumowanie się sił działających tak, iż największy skutek może przypaść nie na największy stopień siły, lecz na nieco mniejszy późniejszy. Jednakże trzymając się ściśle teoryi Falba z jego ognistopłynnem wnętrzem i cienką skorupą, powinniśmy wymagać dokładnego występowania trzęsień i wybuchów w czasie przypływów. Prócz tego jeżeli Falb ucieka się do opóźniań i przyśpieszeń o 3—5 dni, to taka statystyka traci wszelką wartość, gdyż w końcu prawie każde trzęsienie ziemi, kiedykolwiekby się zdarzyło da się podciągnąć pod jego teoryę.

Co do *meteorologicznej* strony teoryi Falba, to przepowiada on burze na te dni, gdy przypływowa siła księżyca jest największa, a jak przy swych przepowiedniach trzęsień nie oznacza w jakiej miejscowości ziemi mają one wystąpić, tak samo i co do pogody; przepowiednie jego orzekają tylko, że w „krytyczne dni" coś takiego gdzieś na ziemi się zdarzy; no naturalnie przecież gdzieś na ziemi zdarzy się prawdopodobnie trzęsienie lub burza; ale nawet przy takiem ułatwieniu zadania proroczego, przepowiednie Falba często zawodzą, jednak i wtedy ma on furtkę: twierdzi, że prócz jego czynników przypływowych mogą być jeszcze inne silne wpływy; jeżeli więc trzęsienie lub burza są niegrzeczne i nie przychodzą na zawołanie, to Falb powiada, że to dowodzi tylko, iż owe inne wpływy były silniejsze, nie zaś, że jego czynniki przypływowe nie miały wpływu.

Należy tu wreszcie dodać, że Falb nie jest pierwszym, który zajmował się pytaniem, czy przypływy księżycowe w oceanie powietrznym dadzą się stwierdzić faktami: już Laplace zajmował się tą kwestyą, a jeżeli dzisiejsza meteorologia odrzuca wpływy kosmiczne przy przepowiadaniach pogody, to nie bez uprzednich licznych i ścisłych badań w tym przedmiocie. W szczególności co do wpływu księżyca przekonano się, iż jest on tak minimalny, iż gdy chodzi o przyczyny naszej pogody, można go z całym spokojem pominąć. Meteorologiczna prognoza oparta na teoryi cyklonów jest dziś jedyną możebną; wprawdzie przepowiada ona pogodę tylko na 24 godzin naprzód i to czasem tylko przypuszczalnie, lecz jeżeli kto chce więcej, to niech się pyta kalendarza, staruszków lub — Rudolfa Falba, a zobaczy jak na tem wyjdzie.

Tarnurrer, któregośmy się tutaj trzymali tak kończy wreszcie swą ocenę działalności naukowej Falba: „Jakkolwiek podziwiamy matematyczne a szczególniej astronomiczne wiadomości Falba; jakkolwiek musimy wyrazić całe uznanie dla jego talentu pisarskiego i pracowitości; jakkolwiek wysokim jest nasz szacunek dla człowieka, który trawił niezmordowanie dni i nocy śród badań naukowych na szczytach Andów, na takich wysokościach, gdzie stopa przewodnika nie śmiała mu towarzyszyć — to jednak nie możemy nie podpisać surowych lecz prawdziwych słów Hoernesa, iż hipoteza Falba jest „naukowym humbugiem."

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

A. Sorel. *L'Europe et la Révolution française.* 4 vol. Paryż 1885—1892.

Sorel stara się rozciągnąć na historyę ogólną epoki rewolucyjnej pogląd genialny Tocqueville'a co do stosunków, wiążących tę epokę z ustrojem dawnym. Nie był to żaden nadnaturalny, dyabelski lub boski wytwór, lecz wprost skutek długoletniego poprzedniego rozwoju. Sorel uogólnił ten punkt widzenia i pomieścił całą Rewolucyę, jej pochód wewnętrzny i zewnętrzny, ludzi i wypadki w środowisku odpowiedniem, historycznem i społecznem. Uczynił zaś to daleko szerzej od Tocqueville'a, gdyż ten zwracał uwagę tylko na instytucye, on zaś nie pominął wpływu osób, charakterów, cnót i wad. Jest to oczywiście jedyny naukowy sposób traktowania historyi, która powinna brać wypadki takimi, jak się odbyły, badając związek wewnętrzny przyczyn i skutków, i to nie tylko w rozwoju instytucyj społecznych, ale i we wpływie czynników psychologicznych. Nie może tu być nawet mowy ani o potępieniach, ani o zachwytach, a pobieżne chęci i żale, któreby chciały wymazać z kart historyi niektóre wypadki, uważając je za niepotrzebne, zbyteczne lub szkodliwe, są w naukowem badaniu, gdzie wszystko powinno się ograniczać do analizy przedmiotowej, wprost śmieszne. Otóż na tych wyżynach historya dotychczas u najlepszych swych przedstawicieli jeszcze nie stanęła: mamy tego dowód między innymi na Sorelu.

Mirabeau, mający wszystkie sympatye autora, uwolniłby, zdaniem jego, rewolucyę od wszystkich jej nadużyć, a doprowadziłby ją do ostatecznych jej rezultatów w sposób zupełnie spokojny. Oto próbka nienaukowego w najwyższym stopniu badania. „Wojna — powiada Sorel — była konieczna między Francyą a Europą. Francya znajdowała się w stanie rewolucyi. Czynniki tej rewolucyi były rozłożone w ten sposób, iż rząd należeć musiał z konieczności do najgwałtowniejszych, i że ci, mogąc się wznieść tylko dzięki sile, potrafili się narzucić tylko za pomocą postrachu. Fałszywem jest twierdzenie, iż postrach, zrodzony z dzikiego natchnienia w olbrzymiem niebezpieczeństwie narodowem, był warunkiem okropnym, ale koniecznym zbawienia publicznego. Postrach był potrzebny tylko dla garstki ludzi gwałtu, żeby opanować władzę i zgubić swych przeciwników. Francuzi nie mają potrzeby, aby ich zmuszano do obrony swego kraju uderzeniami szabli lub rózgi. Będą walczyć, jako ludzie wolni, nie zaś jak niewolnicy." Nie ulega wątpliwości, iż gwałt jest rzeczą wstrętną; nie ulega wątpliwości, iż francuzi są narodem nadzwyczaj szlachetnym, ale czyż w tem wszystkiem jest chociażby cień naukowego badania? A Sorel takie właśnie rości sobie pretensye. Dziwna to nauka, która uważa tylko pewne fakty za konieczne, od innych się odrywa lub ignoruje, a potępiań i zachwytów nie szczędzi im na każdym kroku. Odnosi się to szczególniej do ludzi Rewolu-

---

pierś; wszystkie troski i męczące myśli znalazły się nagle zewnątrz, daleko ode mnie, daleko, wydały mi się obcemi, małemi, jakieś dziwne, głupie potworki, małe dyabliki, stawały się niewidzialne, znikały.

Od czasu do czasu pójdę do kościoła — zwłaszcza do katolickiego. To nadzwyczajnie obojętne, czy się w te legendy „wierzy" — wierzyć dziś już nie umiemy; chcę czuć się czystym, podniesionym. I w pokorze złożę dłonie, ilekroć zobaczę, że ludzie wiarę ojców wyznają i pragnąć będę, iżbym i ja wierzyć mógł, jak i oni.

„Kto wierzy, błogosławion będzie." To znaczy, jest błogosławiony. Szczęśliwi starzy!

Ostatecznie ma się tylko jednego przyjaciela, który w ciężkich dniach nie opusza.

Żonę? — Damę do towarzystwa?—Kiedy zaczyna się chmurzyć, staramy się o rozwód...

* * *

Nazajutrz.

Dzisiaj panna Berner po raz pierwszy wymieniła jej imię. Po to mianowicie, aby mi opowiedzieć, że ona — „czy nie nazywa się Holm? — ach tak, Holmsen"! — że więc z matką i „trochę podstarzałym narzeczonym" wczoraj wieczorem na statku „Hâvre" „wybrała się w podróż do Paryża."

Nienawidzę panny Berner.

III.

Istnieje w świecie jedna tylko rzecz zajmująca: siedzieć tu i pisać do niej listy. Wiem, że je spalę. Jutro lub pojutrze. Wiem, że to głupie, niemęskie, idyotyczne. Może to już początki rozmiękczenia mózgu? Wuj mój zapadł na nie mniej więcej w tym samym wieku; może trochę później. Lecz mimo to, mimo to... Jedyne, co mi przynosi trochę spokoju duchowego. Jedyne, co mnie istotnie zajmuje, zająć może. Może raz uda mi się napisać coś, cobym wysłać mógł.

Świadomość, iż osobie kochanej przedstawiamy się w świetle dwuznacznem, jest dziwną, nieznośną męką. Muszę, muszę się przed nią wytłomaczyć.

A i to wiem, że jestem dziś dla niej poprostu czemś niewygodnem, prawie zapomnianem. Konto moje przekreśliła — oj gapiu, gapiu! i oto przygotowuje się do małżeństwa z rozumu, do którego doprowadził ją może nie kto inny — tylko ja, ja sam.

Haha! Pisz sobie twoje listy i pal je sobie, stary kawalerze. W każdym razie lepiej czasu użyć nie możesz.

Przecież pjolter pić możesz jednocześnie. Pewnego pięknego dnia zawiozą cię do Gaustadu. Jestem zbiornikiem dla wszystkich możliwych grzechów i chorób rodzinnych. We mnie odzywają się one jako dipsomania.

Dzięki Bogu, że byłem dość silny, aby nie łączyć poczciwej dziewczyny z takim trupem.

* * *

To gryzące cierpienie spływa bólem aż do samych kończyn palców, tak, że trudno mi nawet pióro w ręce utrzymać.

* * *

Jeżeli się ożenię, to tylko z kobietą, którą tak mało obchodzić będę, że bez westchnienia odeśle mnie do szpitala, skoro godzina moja wybije. Bez westchnienia i bez szmeru. Z kobietą, która ze spokojem, z przekonania powie: „melancholia," „nerwica," lub wreszcie nazwie mój stan innym jakimś dobrze brzmiącym wyrazem, jednym z tych, których się używa zazwyczaj, skoro dobrzy ludzie zapadają na jakąś smutną słabość.

Słowem — z czemś takiem podstarzałem, rozumiem, jak panna Berner.

Zajmuje się moją osobą. Trzeba jej niby tego, żeby mogła mnie pielęgnować, ratować. Takie to one są wszystkie, te niezamężne. Psy, koty, albo starych kawalerów. Smacznego.

O Boże, jaką wielką, czarną jamą jest cały świat!

IV.

Ból głowy. Ten ściskający, uciskający ból nad brwiami. Początek końca.

Klin wybija się klinem. Ani śladu zakochania. Infirmerka — oto właściwe określenie.

Szkaradne; tracąc zdrowie, człowiek traci energię. Tak mało zależy mi na życiu, że z wielką łatwością mógłbym potrzebne przedsięwziąć kroki. Lecz jestem zbyt ociężały. Absolutnie do niczego. Takiego ogromu energii potrzeba, aby się powiesić, że sama myśl —; hu!

cyi, których Sorel charakteryzuje bardzo dosadnie, ale w sposób czysto podmiotowy. Nie czynimy z tego zresztą autorowi wielkiego zarzutu, gdyż historya do naukowości dotychczas pretendować nie może, ale w takim razie nie stawiajmy sobie zadań, których wykonać nie możemy. Jeżeli zaś pogodzimy się z tem, iż „Historya“ Sorela ma charakter subjektywny, to zachodzi pytanie, jakie są jego poglądy na ten ważny przełom dziejowy. Poznamy je z oceny działalności Konwencyi, która jest oryginalną częścią dzieła, w innych powtarza on tylko myśli Tocqueville'a.

Po śmierci Mirabeau Rewolucya nie wysunęła ani jednego kierownika państwa. Danton, jedyny, który przez chwilę wydawał się przeznaczony do tej roli, miał tylko, rzec można, napady polityki, brakło mu zaś tego, co jest warunkiem nawet geniuszu w sprawach państwa: wytrwałości i charakteru. Rewolucya pożarła go, zanim zdążył dać swą miarę. Żaden z tych, co po nim próbowali rządzić Rzeczpospolitą, nie miał tych przenikliwych i głębokich rzutów oka, które odnajdują wielkie linie wytyczne historyi. Zatargi i gwałty tych miernych koryfeuszów stały wciąż na przeszkodzie dziełu narodowemu. Tem nie mniej zostało ono dokonane! Są bitwy prowadzone bez planu, gdzie każdy szuka tylko sławy osobistej, jest posłuszny tylko swej namiętności i gdzie wszyscy jednak podlegają wspólnemu kierownictwu. Tak się działo w Konwencyi. Dusze ludzi, którzy składali to zebranie, były ciemne zawsze i namiętne, ciasne i opanowane przez ślepy fanatyzm. A jednak czyny ich porządkowały się podług wspólnego prawa. Pomimo całej prywaty i wszystkich współzawodnictw zebranie to posiadało jedną wspólną duszę ofiary, wytrwałości, wiary. Było to wyłonienie duszy Francyi samej. Naród francuski, tak często lekceważony i gnębiony przez to zebranie, był jednak w niem i dawał mu natchnienie. Konwencya zbawiła jedność narodową i niezależność, wolności obywatelskie i równość, podstawę demokracyi. Związała interesy prywatne z interesami państwa przez ustanowienie długu publicznego i z reformami społecznemi przez wyprzedaż dóbr narodowych, które wraz ze skonfiskowanemi zakupione zostały przez chłopów i mieszczan. Ta Konwencya dokonała niesłychanego rozproszenia własności. Wszystko to było dziełem wielkiem. Francya chciała korzystać zeń, ale naprzód trzeba było uporządkować wszystkie zdobycze w prawa stałe. Pod tym względem nic nie było zrobione. Miano natomiast bankructwo finansowe, wojnę, brak rąk, zniszczony kredyt, powstrzymany handel i przemysł. Szkoły były pozamykane, a z wolności, nawet najelementarniejsza, wolność sumienia była fikcyą. Konwencya zmieszała demokracyę z panowaniem fanatyków i ludzi gwałtu, wolność z zatargiem stronnictw, Rzeczpospolitę z dyktaturą garstki. Pozostawało zrobić z niej rzecz i dobrodziejstwo. Tego chciała Francya, chciała organizacyi, sprawiedliwości, porządku, spokoju i głuchem ciśnieniem zaczęła otwierać sobie drogę w tym kierunku. Republikanie z r. 1795 nie rozumieli tego. Ich duma, ogarnięta w doktryny, nie pozwalała im ocenić całej nicości ich osób w Rewolucyi, ani nieznacznej roli, którą w niej odegrali. Byli chwilowo (1793—1795) wyrazicielami woli powszechnej: interes ogólny zjednoczył się na chwilę z interesem ich partyi i partya ta zwyciężyła; ale następnie (od r. 1795) wola powszechna odchyla się nieznacznie od nich, gdyż interesy nie są już identyczne. Ich polityka wewnętrzna opiera się na gwałcie i prowadzi do stałych zatargów, zewnętrzna ciągnie za sobą dla Rzeczpospolitej jeszcze większe niebezpieczeństwa i skutki rozleglejsze. Przedmiotem tej polityki były „granice naturalne,“ z jednej strony baryera Alp, z drugiej — brzeg Renu. Była to polityka prosta w swych danych i mogła być świetna w swych skutkach, ale dla dokonania tego dzieła był potrzebny dobry rząd, zwłaszcza że Europa w żaden sposób na politykę tę zgodzić się nie mogła. Austrya i Anglia mniej myślały o wybawieniu Francyi od anarchii i terroru, niż o skorzystaniu i z tej anarchii i z terroru dla powstrzymania jej polityki zaborczej, popierały więc wojnę domową, by zniszczyć jej handel i przemysł, wysączyć bogactwa. A Rewolucya w żaden sposób wyrzec się nie chciała podboju lewego brzegu Renu. Wszystko to doprowadzić musiało do dyktatury wojennej. Jedna idea opanowała francuzów: zdobyć porządek wewnątrz kraju i granice naturalne. Francya należeć będzie do tego, kto wykona te zadania. Będzie to koniecznie generał zwycięzki. Dyrektoryat ze swemi dwiema radami był tylko anarchią uorganizowaną, zdobycie granic naturalnych było wojną systematyczną. Wojna i anarchia prowadziły do dyktatury. Armia stała się całą ojczyzną w epoce bohaterskiej konwencyi; była nadal całą Rzecząpospolitą. W anarchii ogólnej była to jedyna siła uorganizowana i przytem nie natchnięta duchem stronniczym. Naturalnie musiała pochwycić władzę.

Z powyższego obrazu, który staraliśmy się przedstawić, o ile można, słowami samego Sorela, widać, iż poglądy jego osobiste są poglądami umiarkowanego liberała-patryoty, ale że pod nimi kryje się chęć wykrycia pewnej ogólnej logiki historyi. W świetle tej logiki rewolucyoniści byli następcami Ludwika XIV w linii prostej, ona pchała ich do podjęcia planów polityki zaborczej, która mogła przystanąć tylko nad granicami Renu i Alp. Ta sama logika przeszkadzała skoalizowanym z lat 1792—93 dążyć z bezinteresownością do odbudowania monarchii we Francyi i nareszcie ta sama logika, czyniąc konieczną ciągłość wojny, oddała chwilowo władzę w ręce ludzi gwałtu, ale dawała rolę przeważną w samym rządzie Francyi armii i czyniła w ten sposób, gdy gwałt stał się zbytecznym, dyktaturę wojskową zjawiskiem fatalnem.

Taką jest „naukowa“ podstawa „Historyi“ Sorela, który sądzi zresztą, iż domagając się granic Renu i Alp, Francya nie żądała nic zbytecznego.

Główną wadą dzieła jest to, iż trącają się w niem dwa sprzeczne punkty widzenia: subjektywizm umiarkowanego liberała i fatalizm uczonego, przejawiający się nie tylko w powyższej teoryi „granic naturalnych,“ nie tylko w przyznaniu centralizacyi za fakt konieczny, który pojęli i przyjęli chwilowo Jakobini, dzięki czemu zwyciężyli, z którym walczyli Żyrondyści i walkę tę przypłacili głowami, ale nawet w faktach zupełnie drugorzędnych. W końcu swej analizy Sorel dochodzi do wniosku, iż dyktatura wojskowa była koniecznością, ale nie zadawalając się tem twierdzić, iż dyktaturę tę musiał objąć Napoleon. „Gdyby nawet nie znalazł Doulcet'a i 13 Vendemiai-

---

Albo poprosić doktora Kraale... hu! Odegrać tę komedyę! Zresztą myśl o współwtajemniczonym...

Antipyriny...

* * *

W swoim czasie zanadto obcowałem z lekarstwami. Nie wierzę w ten humbug.

Jedynym ratunkiem jest, jeżeli doktór ma przed sobą osobnik, który zahypnotyzować może. Jeżeli uda mu się skłonić pacyenta do połykania tych bezskutecznych pigułek itp. z należną religijnością. Lecz jeżeli się zna lekarzy i ich sztuki...

Będę się trzymał zimnej kuracyi. Spacerować, spacerować ciągle. To szczęśliwe przyzwyczajenie, to zimne nacieranie co rano czyni mnie przecież dosyć opornym, a jeżeli potem pić będę dużo powietrza — a nie będę pił cognacu — oszaleć by można.

Najgorsza, to wszystkie to myśli, które gryzą i męczą i drażnią nerwy póty, aż zupełnie głupieję i staję się lękliwym, i boję się, iżbym nie miał wizyj i nie słyszał głosów... Każde ptaszę, które, wzbijając się, zatrzepocze na krzaczku, przy drodze, przestrasza mnie tak, że drętwieję.

Gdybym tak miał koło siebie miłego człowieka — o, Fanny, Fanny! Wszyscy inni męczą mnie. Zwłaszcza ta zakochana stara panna, którą panna Berner wlecze z sobą na przechadzki... o, ta mademoiselle nie pójdzie sama z mężczyzną, o którym źle mówią; ona lepiej zna świat, aniżeli biedna Fanny.

Po czem poznać człowieka prawdziwie dobrze wychowanego?

— Po tem — powiada panna Berner, że nawet wobec *starszych panien* zachowuje się jak człowiek prawdziwie dobrze wychowany.

W tłumionym uśmiechu tkwiło ukłucie. Prawdopodobnie zapomniałem się kiedyś wobec tej jej przyjaciółki, wobec tej zakochanej starej panny. Boże mój, mam przecież dla niej należny szacunek — ale...

* * *

— Dlaczego tak trudno zdecydować się na śmierć? — mówi d-r Kraale, wracając ze mną od Jonatana. Ha... prawdopodobnie popęd życiowy póty w nas nie chce umrzeć, póki nie wypróbował wszystkiego. Umrzeć byłoby drobnostką, przypuszczam, w chwili, w której by człowiek mógł sobie powiedzieć: spróbowałem wszystkich środków; otóż nic mi już nie pozostaje; od świata niczego mi się już spodziewać nie wolno.

— Albo też, gdyby człowiek wiedział, że dalej żyć będzie? — zauważyłem. Przypuszczam, że i natenczas równie łatwo przyszło by mu zrzucić cielesną powłokę, jak zrzuca koszulę lub surdut.

— Tego z zupełną stanowczością twierdzić nie można — odparł doktór. Gdybyśmy posiadali duszę po trzykroć nieśmiertelną, jednak zależałaby od tego nędznego cielska... Widzi pan, w człowieku jest tyle pod-dusz, dusz cielesnych: dusza nerwów, dusza krwi, dusze brzuszne i dusze różnych innych jam... W chwili, kiedy naddusza odezwałaby się ze zdaniem, że chce rzucić ciało, owe dusze cielesne opadłyby ją i opanowały — podobnie jak czynią majtkowie, kiedy kapitan dostaje delirium tremens i chce szkutę osadzić na brzegu; wiążą go poprostu i zamykają. Ha, zresztą zobaczymy. Jeżeli będziemy żyli, to będziemy. Qui vivra, verra.

Zdaje mi się, że westchnął.

— Straszne to, żeby człowiek nie był panem swego życia — prawiłem dalej. Ostatecznie nikt nie odbiera sobie życia póty, póki zmysłów nie postrada, a wtedy właściwie powiedzieć niepodobna, że „sam“ się zabił.

— *Bywają* i tacy, którzy zabijają się przy zdrowych zmysłach — rzekł Kraale.

Poszliśmy do Grand Café, rozmawiając dalej. Naturalnie w końcu o małżeństwie. Ja broniłem, on napadał. Mąż — to zupełnie niby ów smok Fafner w „Sygfrydzie“ Wagnera... o ile mi się zdaje:

„Leżę
i posiadam;
daj mi spa - - - ać.“

V.

U pastora Lochena — na herbacie. Po herbacie bardzo dyskretny toddy.

Stara się usilnie o to, aby w mojej obecności nie razić rysami księżymi. Lecz albo to moja, albo jego wina: w końcu zagłębiamy się po uszy w religijnych nonsensach.

Nie chce przyznać, że „nowoczesnych kacerzy“ nienawidzi.

— Raczej — powiada — mam pewien szacunek dla tych silnych umysłów, które,

re'a, znalazłby innych ludzi i inne warunki, a do władzy musiałby przyjść. „A cóżby było, gdyby go jakaś kula w jednej z licznych bitew nie minęła?“ — mógłby jakiś żartowniś zapytać.

Strona techniczna dzieła wykonana jest po mistrzowsku: pisząc je w ciągu lat 7, Sorel miał wszakże wciąż przed oczyma ogólny jego plan. Dlatego też z łatwością obraca się śród tylu dokumentów i wypadków i zachowuje jasność wykładu, przenosząc nas co chwila z jednego końca Europy na drugi, przeplatając opis układów dyplomatycznych, wypadków polityki wewnętrznej i zewnętrznej, operacyj wojskowych, roztrząsaniami ogólnemi i portretami osób. Opisy wielkich dramatów odznaczają się u niego wzniosłością myśli i potęgą stylu, ale w portretach jego talent wznosi się najwyżej.

Eipon.

UTWORY NIEWIEŚCIE.

I.

Mulier taceat in ecclesia — niech kobieta milczy w świątyni. Ten nakaz, sięgający swoją mocą obowiązującą daleko po za epokę, w której został wypowiedziany, był nietylko aż do najnowszych czasów przestrzegany, ale nawet rozszerzany. Milczeć ona musiała w każdej świątyni, zarówno w religijnej, jak w naukowej lub społecznej. Wiek obecny wszakże zdjął z ust niewieścich pieczęć niemoty, przynajmniej w literaturze, całkowicie. Kobiety zaś, jak gdyby chcąc sobie wynagrodzić tak długie przymusowe milczenie, rozgadały się niepomiernie, a ta wielomowność odbiła się jako główna cecha ich działalności pisarskiej. Mężczyzna, czując niejako, że wypowiedział się w ciągu historyi dostatecznie, nadaje swej mowie pewną treściwość; kobieta wylewa potoki słów zbytecznych i przy każdej niemal sposobności chciałaby wyrazić wszystko, co kiedykolwiek przemilczała. Jest to potrzeba jej duszy od niedawna obdarzonej głosem.

Znajdujemy się u schyłku XIX stulecia, a kobiety nasze nieprzerwanie podczas tego okresu uczestniczą w literaturze, więc już znacznie ochłonęły z pierwszego rozpędu wielomówności i umieją być nieraz zwięzłe jak spartanki. Ale zwykle zdobywają tę zdolność dopiero później; w początkowym natomiast okresie rozprawiają dużo, obszernie, zadając sobie prawie gwałt, jeśli muszą słowa swoje zamknąć w pewnych granicach. Przez to stadyum przeszła również Orzeszkowa.

Obserwując talenty pisarskie, dostrzedz łatwo, że jedne z nich wchodzą do literatury prawie dojrzałe, inne zaś doskonalą się w długim rozwoju. Tak np. Mickiewicz prawie odrazu objawił całą swoją siłę, podczas gdy Słowacki wyrabiał ją w sobie ciągle. Orzeszkowa wystąpiła na polu piśmiennictwa jako talent młodziutki i niedojrzały, który zwolna wzrastał i potężniał. Pomiędzy jej *Obrazkiem z lat głodowych* a powieścią *Nad Niemnem* upływa nietylko 25 lat, ale prawie tyleż stopni rozwoju. Wtedy umysł jej był zagadkowym pączkiem, dziś jest wspaniałym kwiatem. Wtedy mówiła dużo i szlachetnie, dziś tworzy znakomite dzieła. Wychowała się i ukształciła w literaturze, a nie po za nią. Przed ćwierć wiekiem była początkującą uczenicą, teraz jest laureatką. Wtedy nazwisko jej było dość zagadkowym pytajnikiem, obecnie jest wymownem słowem. Chcąc przeto upleść dla niej wieniec chwały, trzeba zebrać kwiaty z okresu dojrzałości jej talentu. Nie mogę tego uczynić na tem miejscu, gdyż zadaniem mojem jest tylko rzucenie kilku uwag o dwu ostatnich jej utworach, *Bene nati* i *Westalka*.

Każda literatura podobna jest do biblioteki, posiadającej książki w pojedynczych i podwójnych lub wielu egzemplarzach. Unikatem w pierwszej jest każdy wielki talent lub geniusz, duplikatami — zdolności powszednie, które stanowią pewną wartość, ale którą wymienić można na inne. Orzeszkowa należy do unikatów naszego piśmiennictwa, bo go nie wzbogaciła tylko liczebnie, nie stanowi drugiego lub trzeciego egzemplarza umysłów już przedtem znanych, lecz ma swoje własne, wysokie stanowisko i dała społeczeństwu to, czego mu nikt inny nie dał. Jeżeli każdy człowiek jest osobnym światem, to niewątpliwie jest nim wielki talent. Dzieła Orzeszkowej, obejmujące dziś już kilkadziesiąt tomów, stanowią udzielne książtewko literatury, odrębny świat; zaludniony mnóstwem postaci różnorodnych, oryginalnych, czasem wspaniałych, oddychających czystem powietrzem moralnem, wolnem od wszelkich zaduchów, oświetlonych jasnym umysłem autorki i ogrzanych jej gorącem sercem. Dużo tego światła i ciepła zużyła ona, rozszerzywszy krainę swej twórczości nowym, prawie nieznanym widokiem życia „survival'ów“ szlachectwa (jak by powiedział antropolog) w powieści *Nad Niemnem*. *Bene nati* są niejako jej dopełnieniem, a w każdym razie tkaniną z tego samego wątku. I tu występują ci sami „dobrze urodzeni,“ okrywający swą dumę łachmanem lub kapotą, ten sam drób szlachecki, swarliwy, odęty pychą lepszego pochodzenia, której pęcherze życie niemiłosiernie przekłuwa, to samo prostowanie się wobec „chamów,“ ta sama mieszanina prostactwa z resztkami dawnych, niepochwytnych ambicyj. Tylko że materyał, który w *Nad Niemnem* posłużył do szerokiego obrazu, w *Bene nati* jest małym skrawkiem, na którym zmieścił się zaledwie krótki romans. Jedna z takich drobnych szlachcianek pokochała dzielnego młodzieńca, nadleśniczego, który ma ją wkrótce poślubić. Ten związek z „chamem“ oburza jej brata, który groźbą, namową, wreszcie obietnicą sowitego wiana odciąga siostrę od narzeczonego i kojarzy małżeństwo ze „swojakiem.“ Dziewczyna wszakże, nie mogąc stłumić uczuć zgwałconego serca, ucieka w dniu ślubu do poprzedniego narzeczonego, którego zastaje przed chwilą ożenionego z inną. Nie ma tu nawet w intencyi autorki żadnych bohaterów, są tylko ludzie, i to ludzie małej miary, tacy, jakich zwykle wydaje ta sfera, z której ich wyprowadzono. Składają oni obrazek rodzajowy, którego jedyną myślą jest uwydatnienie żywej skamieniałości społecznej, drobnoszlacheckiej dumy w starciu z „chamstwem,“ które śmiało ją zadrasnąć swoją pretensyą do równości. Nie sądźcie przytem, żeby Orzeszkowa w tem starciu jedną stronę okryła gęstym cieniem a drugą światłem. Niewątpliwie widzi ona i ujawnia śmieszność karykaturalnej pychy „dobrze urodzonych“ prostaków, ale ich nawet pośrednio nie potępia. Gdyby jej powieść

---

uznając próżnię życia bez Boga, w strasznem tem poznaniu jednak trwają.

— Tak — trzeba do tego siły!

— Ale — natychmiast chwycił się zastrzeżeń — ale dodać muszę, że kiedy czytam książki tych ludzi, ogarnia mnie uczucie jakiejś suchości, powierzchowności; doznaję wrażenia, jakoby oni nie w samą głąb cierpienia świata okiem sięgnęli — jakoby conajmniej głębi tego cierpienia nie odczuli.

— Hm — zauważyłem—kiedy się nawet pozna i odczuje głębokość tego bólu — to jednak ma się pewną dumę, pewną moralność; nie wystarcza przecież stwierdzić, że ciężko spojrzeć prawdzie w oczy, aby potem chwycić się takiego uznanego idyotyzmu!

— Tak, tak, mruknął, o tyle zgadzam się. Ale jeżeli nie pojmujesz, jak ludzie nowocześni, np. członkowie arystokracyi angielskiej — nawrócić się mogą na wiarę katolicką, ja trwać muszę przy zdaniu, że poznanie bezcelowości cierpień świata jest jednym z najsilniejszych bodźców powrotu do Chrystusa. Kto dostatecznie poznaje... niemożliwość objaśnienia sobie porządków świata drogą naukową, wchodzi w stadyum wyboru między pomieszaniem zmysłów a Chrystusem, a natenczas niejedna udręczona dusza odrzuci „dumę,“ szukając ratunku tam, gdzie go znaleźć można.

— Słabsze dusze... może.

— Będzie to może dusza słabsza. Lecz może to być i dusza silna, która poznała większą głąb bólu światowego, aniżeli zazwyczaj...

— Naturalnie, że każdy najchętniej zaliczy się do tej klasy.

— Ja niestety przyznać muszę, że liczę się do dusz słabszych. Jestem — jeżeli sobie przypominasz jeszcze — z natury trochę estetykiem, może przeważnie estetykiem, a umysły estetyczne do silnych nie należą. Dla mnie bodźcem był właśnie zmysł piękna. Ponieważ pewnego pięknego dnia świat rozbrzmiał w moich uszach wielkim, krzyczącym dysonansem, więc pozostała mi jedna tylko droga: pójść tam, gdzie przynajmniej harmonię znaleźć można, tę zaś znajduje się w Chrystusie.

— Hm, hm.

— Lecz ci arystokraci angielscy interesują mnie. Sam miałbym nieraz chęć schronić się po za te mury kościelne i ołtarze; lecz módz się tam schronić! Przezwyciężyć cały swój nowoczesny sceptycyzm, całą wiedzę i znaleźć prawdziwy spokój w czemś, co się tak przeżyło!.. nie pojmuję.

Lecz może to się nie przeżyło? Salomon pisał: „Niema nic nowego pod słońcem,“ powinien był dodać: „i nic starego.“ „Nowem“ jest może to, czego nam w danej chwili właśnie potrzeba; „starem“ — to, cośmy przed chwilą zużyli... Że znużeni myśleniem ludzie chwytają się mistycyzmu, jest równie prosto jak to, że po długotrwałej suszy łąka pragnie deszczu.

* * *

Panna Berner jest muzykalna. Bardzo szczęśliwie — na wypadek, jeżeli wyjdzie za mąż, muzyka jest doskonałym piorunochronem małżeńskim.

— I ja kiedy niekiedy tęsknię za tonami — rzekłem. W młodości mojej pisywałem nawet utwory muzyczne. Niema choroby, którejbym nie przebył; odrę muzykalną miałem nawet w dość silnym stopniu. Lecz w końcu znudziło mnie to jednostajnością. Coś tak biednego! Marne dwie tonacye. Dur i moll, moll i dur... dwa ostre przeciwstawienia bez łącznika godzącego... Czyż może pani wystawić sobie coś równie nieartystycznego? Świdrowałem, świdrowałem, chcąc wejść głębiej; chciałem znaleźć „trzecią tonacyę,“ tonacyę, która wedle legendy w śpiew i taniec wszystko wprawia... Lecz nie było jej... były tylko walce dla tych, którzy chcą tańczyć i psalmy dla świeckich księży; sprzykrzyło mi się to... jak wszystko inne.

— Uczucia bardzo młodzieńcze — zauważyła panna Berner.

— Tak, tak, pewnie.

Lecz mimo to i dziś jeszcze marzę o tych głębokich zasadniczych tonach, które całe istnienie w ruch i dźwięk zamienią. Gdybym je posiadł — jakaż błogość wygrać je i widzieć, jak świat rozpływa się w śpiewie — rozpływa się najpierw w złociste obłoki, potem w delikatną, niebieskawą mgłę, a wreszcie w wielką, zimną świetlaną jasność.

(D. c. n.).

---

przerobić na kazanie, powiedziałaby im: Jesteście ludzie dobrzy, ale ciemni; jakimi zaś powinniście być, bierzcie przykład z tego poczciwego szlachcica, który ocenił w „chamie“ jego przymioty i dał mu swą córkę, podczas gdy wy niedorzecznym uporem złamaliście życie swej siostry.

Orzeszkowa ma widocznie szczególną miłość dla tych ludzi, wynikającą po części w wrażliwego jej serca, po części za znajomości ich cnót. Czytelnik, oderwany od nich i mniej uczuciowy, nie znajdzie w nich upodobania. Są to dla niego omszałe zabytki, wykopaliska głębokiego pokładu cywilizacyi, dziwolągi wymierające, gatunki i okazy muzealne. Jeżeli razi nas wyniosłość, duma, pycha, pogarda dla „chamstwa“ wyższych warstw społecznych w oprawie kultury i dostatku, to jakże okropny przedstawiają one widok w oprawie ubóstwa i ciemnoty! To też czytając utwory Orzeszkowej tego rodzaju, zdaje nam się, że mamy przed sobą sceny z bajek Ezopa lub Lafontaine'a, w których bocian urąga lisowi, a kura — kaczce. Ale czyż mimo to pleśnie cywilizacyjne niegodne są pióra powieściopisarskiego?

Nietylko w treści, ale i w formie między *Bene nati* i *Westalką* leży przepaść. Tam zaścianek zrozumiały tylko dla tych, którzy nań patrzą z blizka, tu powszechnie zrozumiały obrazek historyczny; tam prosta opowieść obyczajowa, tu wysoko nastrojony poemat dramatyczny. Jedna z kapłanek świętego ognia złamała ślub czystości miłosnym związkiem. Winę wszakże nocnej schadzki z mężczyzną przyjęła na siebie przełożona zakonu, która też poniosła karę i ocaliła tym sposobem rozkochaną dziewicę. To już nie zwyczajna szlachcianka zagrodowa, ale bohaterka. Europejczyk nie zrozumie *Bene natów*, ale zrozumie *Westalkę* i zachwyci się jej podniosłością duchową. Orzeszkowa ma więcej talentu i zamiłowania do motywów swojskich, niż obcych, więcej do realizmu, niż koturnowego stylu klasycznego, ale siła pozostaje zawsze siłą, cokolwiek porusza, a mocna ręka nie ujmie niczego słabo. Więc i *Westalka* staje przed nami pięknym posążkiem. Lubię ten świat, promieniejący w dziejach nigdy niegaszonem światłem; lubię go oglądać nawet przez szkła idealizmu, bez realistycznego kurzu, którego dziś sztuka tak wymaga, więc wolę jego postacie wskrzeszone, niż żywe w teraźniejszości. Dlatego może wyżej postawiłbym *Westalkę*, niż *Bene natów* — chociaż taka drobna, jak statuetka pokojowa.

(D. c. n.).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZDROWOTNOŚĆ MIAST.

Potrzeba przygotowania środków odpornych na przyjęcie groźnego wroga — cholery, nigdy może w takim jak dzisiaj stopniu nie obudziła czujności władz municypalnych i komitetów sanitarnych. Przy tej sposobności ujawniono tyle braków, tyle grzechów ciężkich przeciwko bezpieczeństwu ogólnemu, że się dziwić należy, jak dotychczas ludzie jeszcze żyją, niechlujstwem ze wszech stron otoczeni i truciznami karmieni. Jakkolwiek podjęte przeciwdziałanie zaledwie cząstkę nieznaczną warunków szkodliwych usunąć może, w każdym atoli razie organizatorom działań zaradczych przyznać trzeba dużo energii, a czujność rozbudzona i nawet w pewnym stopniu środki nacisku mogą się stać początkiem szerszych reform około naprawy warunków zdrowia publicznego. Naturalnie, marzyć można tylko o względnem uzdrowotnieniu miast, sama już bowiem natura tego rodzaju siedlisk ludzkich, pomimo wzorowych częstokroć urządzeń sanitarnych, przedstawia o wiele przyjaźniejsze niżeli wieś warunki dla rozwoju wszelkiego rodzaju chorób. Mówimy tu o wszystkich bez wyjątku miastach, nawet przodujących w czystości i wszelkich udogodnieniach. Weźmy Paryż schludny, skanalizowany, przestronny w dzielnicach pierwszorzędnych, posiadający liczną i dobrą obsługę lekarską, szpitale wzorowe, laboratorya chemiczne do rozbioru produktów zafałszowanych, czujność władz w zakresie zdrowia publicznego itd. Niedawno sekretarz komitetu francuskiego Towarzystwa hygienicznego, dr. Dumenille, poświęcił tej sprawie odczyt publiczny, który swą treścią zwrócił powszechną uwagę. Autor położył silny nacisk na konieczną ostrożność przy wybieraniu ulic, gdzie mają być wybudowane domy dla robotników i ich rodzin. Przedewszystkiem należy wybierać dzielnice możliwie dostępne dla słońca i powietrza, to jest takie ulice, których szerokość odpowiadałaby wysokości zabudowań. Badania dowiodły, iż błoto uliczne zawiera nierównie więcej szkodliwych drobnoustrojów, niżeli nawet nieczystości rur zlewowych. Dr. D. rozdziela Paryż pod względem sanitarnym na trzy grupy. Do pierwszej zalicza najlepszą środkową dzielnicę miasta, obfitującą w szerokie przestrzenie, place, bulwary, gdzie słońce ma dostęp przez większą część dnia. Pomimo to, w gramie śmieci, wziętych z bruku owej dzielnicy, badania prelegenta wykryły pięć do *dziesięciu milionów* różnych mikro-organizmów. Druga grupa obejmuje ulice targowe, bardzo ożywione pod względem ruchu kołowego, ale niezbyt szerokie w stosunku do kamienic wysokich, gdzie dostęp promieni słonecznych bywa bardzo skąpy. Śmiecie z takich ulic zawierają w gramie od dziesięciu do *czterdziestu milionów* drobnoustrojów. Wreszcie trzecią grupę stanowią błotniste, wązkie, krzywe zaułki, niedostępne niemal przez cały dzień dla promieni słonecznych; nierówność linii tamuje tam dopływ powietrza. Na takich ulicach zebrane śmiecie zawierają w gramie po dwa i więcej *miliardów* bakteryj. Dr. D., który dużo poświęcił pracy sprawie polepszenia warunków hygienicznych Paryża, twierdzi, iż mieszkania na niższych piętrach, gdzie łatwo dostaje się kurz, a trudniej powietrze i promienie słoneczne, można śmiało zaliczyć do nieodpowiednich dla ludu. Podziwia on „duch bohaterski“ lokatorów, mieszkających w domach niezdrowych, rozsadnikach chorób zabójczych. Ileż tysięcy takich „bohaterów“ u nas dałoby się naliczyć!.. Mnogie mieszkania umeblowane w Paryżu, nieraz przynęcające wygodą, są również rozsadnikami wszelkich chorób. To też w ostatnich czasach oddano je dozorowi inspekcyi. Rezultatem rewizyj, dokonanych w roku zeszłym, była ogromna liczba protokułów, pociągających do odpowiedzialności niechlujnych aferzystów. Dodajmy, iż znaczny procent takich mieszkań zajmują ludzie ubodzy *).

W nielepszych warunkach zdrowotnych są ubogie dzielnice imponującego rozmiarami i bogactwem Londynu. Posłużyły już one wybitnym ekonomistom i autorom społecznym, a nawet powieściopisarzom do stworzenia obszernych dzieł. Tych obrazów strasznych, które grozą przejęły ogół inteligencyi, powtarzać nie będziemy. Dodajmy tylko, że nowy zarząd municypalny Londynu, złożony z ludzi szerzej odczuwających cierpienia ubóstwa, zwraca przedewszystkiem uwagę na niedostatki miasta, zgubnie oddziaływające na zdrowie publiczne. Dotychczas już szerokie starania rozwinięto około zaprowadzenia hygieny powszechnej; rozciągnięto baczniejszy nadzór nad ogrodami i parkami, pootwierano nowe, zakupiono rozległe przestrzenie, w dzielnicach ludnych (np. w Bethnal Green, zapobieżono dalszej budowli domów natłoczonych. Energicznie rozwinięto wznoszenie domów dla ludności robotniczej, o typach znacznie lepszych, niż dotąd praktykowano. W parafiach ubogich raty podatkowe, przeznaczone na utrzymanie domów roboczych, zostały zmniejszone, natomiast podniesiono je w parafiach bogatych. Rada municypalna podjęła zażartą walkę z monopolami wody, gazu itd. W wodę źródlaną zaopatruje stolicę angielską ośm rozmaitych towarzystw, które pomimo skandalicznych nadużyć robią świetne interesy. Londyn kupuje od nich corocznie za 1,700,000 funtów wody, a kosztuje ona towarzystwa zaledwie 700,000. Tak więc miasto, związane kontraktami, traci cały milion na rzecz możnych akcyonaryuszów. To samo jest z gazem. Otóż nowy żywioł, który wpłynął do municypalności, usiłuje wszelkiemi sposobami zwalić siłę monopolu, spoczywającego na barkach mieszkańców; nadto, stara się o ulepszenia straży ogniowych, zakładanie bibliotek i czytelni publicznych, łazienek, pralni, ogrodów itd. Wogóle ma on na względzie zasadnicze potrzeby całych mas ludności miejskiej **).

(D. n.)

*) *Science pour tous.*

**) Dr. M. E. Trepka. *Municypalność Londynu.* Ateneum, maj 1892.

PAMIĘTNIK.

Posucha.

Tygodniki i miesięczniki, wypełniające znaczną część swych łamów materyałem naukowym, nie mają nigdy „pory martwej,“ wyschnięcia źródeł wiadomości, które trapi latem wszystkie dzienniki, te młyny, poruszane falami potoków bieżących. Obecny „sezon“ jest szczególnie dla nich dokuczliwy. Dość powiedzieć, że niektóre z nich, nie znajdując nawet w Europie faktów godnych uwagi, w miejsce artykułów politycznych drukują rozmyślania o... miłości. Jakiś chłopczyna, zwyczajem powszechnym u biedaków, śród których dzieci starsze opiekują się młodszemi, z małym bratem na ręku wsiadł do wagonu w Rembertowie i przyjechał do Warszawy. Nazajutrz w jednem z pism odrysowano tego bohatera, który nie przypuszczał zapewne, że się wsławił, i nie wie, czemu zawdzięcza swoją chwałę. Ach, gdyby on był świadkiem medytacyj dziennikarza, który woła w rozpaczy: „o czem tu pisać?“ Niedawno w pewnej gazecie czytaliśmy artykuł, przypominający, że 22 lata temu odbywała się wojna francusko-pruska. W dacie tego wspomnienia nie przypadała żadna rocznica ważnego mementu wielkiego starcia, cały jego przebieg jest ogólnie znany, ale biedny redaktor musiał „powrócić myślą“ do tych wypadków, bo innych mu zbrakło, a puste miejsce trzeba było zapełnić. Inni ratują się przeciw posusze jeszcze gorszymi środkami, wsuwając do kroniki wiadomości dawniej już głoszone i czyniąc z niej baryłkę masła, w której tylko na wierzchu jest wyrób świeży, a na spodzie stary łój.

Nie śmiejcie się wszakże, gdyż, bądź co bądź, jest to mozół bardzo ciężki, którego jedyną osłodę stanowi myśl, że za parę tygodni męka się skończy. Przyjdą odczyty, posiedzenia, „premiery,“ wyścigi, wieczorki, częstsze kradzieże i morderstwa, koncerty itd. Wtedy kamień letni spadnie z piersi dziennikarskich i wstąpi w nie ulga jesienna. Tymczasem panuje piekielna posucha.

„Record.“

Jest to wielkiem szczęściem dla reporteryi, że cykliści naprzód długo wahali się nad wyborem toru wyścigowego, a następ-

pnie, że szosa, na której mają próbować swych sił, jest w kilku punktach naprawiana. Dało to bowiem sposobność do wielu doniesień, sprostowań, uzupełnień itd. Ostatecznie „record" — mówiąc po warszawsko-dziennikarsku, czyli wyścig — po polsko-chłopsku — ma się odbyć (14 b. m.) na stuwiorstowym odcinku szosy radomskiej. „Żetony" — mówiąc po warszawsko-dziennikarsku, czyli znaczki — po polsko-chłopsku — złote, srebrne i bronzowe już zostały zawieszone w marzeniach i nadziejach zapaśników. Obecnie dokonywa się przyspieszony „training" — mówiąc po warszawsko-dziennikarsku, czyli ćwiczenie — po polsko-chłopsku. W tym „sporcie" nie ogłaszamy „faworytów," więc nawet nie próbujemy zgadywać, na kim spocznie chluba kraju, a przynajmniej sława „recordu."

Licytacye lombardowe.

Skoro nie można złego podciąć w korzeniu, niszczmy przynajmniej jego zbyt bujne gałęzie. Lombardy istnieją, istnieć będą i istnieć muszą, zwłaszcza gdy tą siecią zaczęli łowić ryby najczystszej krwi arystokraci, którzy, jak wiadomo, od niedawna zastąpili w Warszawie Icków i Srulów. Jeśli wszakże ten polip ma ssać biedaków, niechże ich ssie z pewnem umiarkowaniem. Ograniczono nieco w lombardach jawnych stopę procentewą, niektóre z nich pobierają tylko 12% (zresztą nie ręczymy za ścisłość tej odsetki, gdyż przyczepiają się do niej rozmaite a nieuchwytne „koszty administracyi") — ale tak się dzieje wtedy jedynie, gdy dłużnik fant wykupi. Zastawy niewykupione idą na sprzedaż publiczną. Tu „publiczność" jest farsą — niestety — bardzo smutną. Sami właściciele lub administratorzy, znając wartość każdego fantu, przez podstawione osoby nabywają go dla siebie lub swoich znajomych. Nadto w dniu licytacyi napełnia salę liczna, solidarna, zuchwała i teroryzująca banda przekupniów, handlarzów, specyalistów tego rzemiosła, po części chrześcian, przeważnie żydów, którzy, nie dopuściwszy nikogo z zewnątrz do współzawodnictwa, kupują wszelkie przedmioty za najniższe ceny. Dzięki temu „trustowi" nie ma „publiczności," a nawet wogóle żadnej licytacyi. Naturalnie traci na tem tylko najbiedniejszy — zastawnik. Gdyby mu sprzedano jego zegarek, futro lub palto rzeczywiście przez licytacyę nieskrępowaną, otrzymałby niezawodnie (po strąceniu długu) kilka, a nawet kilkadziesiąt rubli nadwyżki. Ściśnięty w szponach lombardu i jego „publiczności," musi przyjąć to, co mu dadzą z łaski, jeśli dadzą. A tych ofiar i tych fantów przesuwają się rocznie dziesiątki tysięcy. Czy już sama ta ilość nie powinna wywołać jakiegoś przeciwdziałania? *Kuryer warszawski* donosi, że ma być założona wielka sala licytacyjna dla wszystkich lombardów prywatnych, których właściciele będą obowiązani składać w niej wszystkie przedmioty wystawione na sprzedaż. Otrzymają oni swoje należności, a reszta wypłacona zostanie dłużnikom. Ale cóż ów projekt zrobi z bandą handlarzów? Czy ich okiełzna skutecznym przepisem? Bo przecie jak osaczają dotąd mniejsze miejsca licytacyi, tak osaczać będą jedno większe; jeżeli zaś z nimi nie mogą sobie poradzić władze sądowe przy subhastacyach nieruchomości, to skądże poczerpnie moc jeden mianowany do tych przetargów urzędnik? Życzymy pożądanej zmiany, ale nie spodziewamy się jej. Takie narośle trzeba wycinać głębiej, ażeby się nie odnowiły w tej samej formie.

Skargi.

Każda fala wychodźcza niesie w swem łonie męty. Z ludźmi, rzuconymi w świat daleki na tułaczkę przez biedę i nadzieję poprawy losu, mieszają się awanturnicy, zbrodniarze, zwolennicy łatwego zarobku, słowem, żywioły lichej wartości moralnej. Tak bywa w każdej emigracyi, tak musiało być w żydowskiej. Że do Argentyny powędrują nietylko uczciwi nędzarze, ale wszelkiego rodzaju łotry i łotrzyki, wreszcie próżniacy, to było naturalnem i tego należało się spodziewać. Dzięki właśnie tym pierwiastkom wybuchły w koloniach zamieszki, skutkiem których gromadę buntowników wywieziono do Ameryki północnej, a w rozmaitych pismach zaroiły się skargi na zawód, nieludzkie postępowanie itd. Przypuszczenie, że Hirsch, zrobił tak wielką, jedyną w historyi ofiarę dla swych współwyznawców z zamiarem dokuczania im, jest takim bezsensem, że on uderza w oczy odrazu. Mimo to elegie nie ustają. Świeżo *Odessk. Wiestnik* zamieścił list pewnego lekarza z Argentyny, który Hirscha nazywa despotą. „Karność — powiada on — zaprowadzona przez Goldsmitha, przypomina surowość głowy rodziny w dawnych czasach, w których alfą i omegą wychowania była rózga. Goldsmith wypędził ze swego otoczenia wszystkich żydów i powierzył wszystkie posady antisemitom (!!). Żydom — powiada Goldsmith — religia wcale nie jest potrzebna. Chciałby, aby wszyscy żydzi zapomnieli o swem pochodzeniu. W myśl przepisów, ułożonych przez pułkownika Goldsmitha, żydzi są obowiązani uprawiać ziemię w ciągu lat dziesięciu i wszystkie otrzymane ztąd produkty oddawać do jego rozporządzenia. Za pracę swą dostają chatę, składającą się z jednej izby i żywność. Dopiero po upływie lat dziesięciu przysługuje kolonistom prawo kupienia ratami gruntu w ilości 50 dziesięcin. Na jakich zaś warunkach ziemia ta oddawana będzie żydom na własność — nie wiadomo dziś zupełnie. Ten brak wszelkich informacyj budzi niezadowolenie wśród kolonistów, to też wielu z nich opuściło już Argentynę. Z listu niniejszego pokazuje się — mówi *O. Wiestnik* — że koloniści życzą sobie, aby mogli natychmiast wejść w posiadanie gruntów i narzędzi rolniczych (z wypłatą należności w ratach), i aby nie potrzebowali nikomu oddawać produktów. Zgadzają się oni na wysokie nawet procenty, byle mieli to przeświadczenie, iż pracują dla siebie, a nie dla agentów barona Hirscha. Autor listu nie wierzy w powodzenie kolonizacyi żydowskiej na teraźniejszych jej podstawach. Donosi dalej, iż mnóstwo kolonistów uciekło (!) do Ameryki Północnej i kończy długi list w taki sposób: Na ruinach kolonij żydowskich w Argentynie radzę baronowi Hirschowi postawić obelisk z takim napisem: „Tu pogrzebano wszystkie nadzieje żydów. Grabarzami byli: Löwenthal, Roht i Goldsmith." Jeżeli Hirsch jest „grabarzem" żydów, to trudno odgadnąć, czego oni wymagają od swego mesyasza. Jeżeli zaś nie dziwimy się przeróżnym awanturnikom i pasorzytom, że pisują takie listy, zdumiewa nas lekarz, który plecie podobne bzdurstwa. Kto chce w należytem świetle ujrzeć „despotyzm" zawiadowcy osad w Argentynie, pułkownika Goldsmitha, niech przeczyta jego ludzkie, prawie ojcowskie odezwy do kolonistów. Raju on im stworzyć nie może, bo go na ziemi nie ma i tylko Adam z Ewą go posiadali. O ile wszakże dobra wola filantropa i olbrzymie jego środki mogą wypędzanym zewsząd tułaczom i nędzarzom zapewnić szczęśliwe istnienie, o tyle zapewnił im je Hirsch. Trzeba go podziwiać i szanować, a nie czernić. *W.*

Kursy ogrodnicze.

Zanim zatwierdzona i urządzona zostanie w Warszawie szkoła ogrodnicza, przy tutejszym ogrodzie pomologicznym mają być otwarte wykłady bezpłatne z okresem trzyletnim dla kandydatów, którzy przedstawią świadectwa z ukończonych co najmniej czterech klas gimnazyum. Niewątpliwie lepiej to, niż nic, zdaje nam się jednak, że wymagane przygotowanie naukowe od wstępujących jest zbyt wielkie i zbyt jednostronne. Naprzód bowiem bardzo niewielu u nas młodzieńców poprzestaje na wykształceniu czteroklasowem, gdyż każdy, który się już raz dostał do gimnazyum, kończy je całkowicie, zwłaszcza że przy nader ograniczonym dziś wstępie do tych zakładów utrzymują się w nich tylko zamożniejsi i zdolniejsi, którym nic nie przeszkadza posuwać się dalej. Ci zaś nieliczni, którzy przerywają naukę gimnazyalną w połowie, albo są niezdolni do pracy ogrodniczej, albo jako bogaci, mogą nie zajmować się niczem, albo marzą o jakiejś „szlachetniejszej" karyerze. Przypuszczamy, że wobec wspomnianych kursów szkoła realna uprawniona została z gimnazyum. Ale dlaczego nie mają być przygotowani do słuchania ich wychowańcy szkół miejskich, którzy powinni być najodpowiedniejszymi i byliby może najchętniejszymi kandydatami? Kto wyszedł z takiego zakładu, zamknął już swoją edukacyę ogólną i rozpoczyna specyalną, a ogrodnictwo byłoby dla wielu najwłaściwsze.

Zaburzenia majowe.

Wydział karny piotrkowskiego sądu okręgowego rozstrzygnął w Łodzi całe pasmo spraw, wynikłych z rozruchów robotniczych w pierwszych dniach maja r. b. Nie możemy opowiadać ani zawikłanej historyi tego zdarzenia, ani szczegółowych przewinień każdego z oskarżonych; ograniczymy się tylko na zarysie ogólnym. Przeważnie pociągnięto do odpowiedzialności sprawców napadów i grabieży, dokonanych na osobach tamtejszych izraelitów. I tak: pierwsza grupa (ukarana rotami aresztanckiemi od 1 do 1½ r.) pobiła Mendla Janowskiego i wydarła mu zegarek; druga (od 2 miesięcy więzienia do roku rot aresztanckich) uczyniła to samo z Izraelem Schlinholzem; trzecia grupa (rok rot areszt.) poraniła Michela Niessenholza; czwarta (rok rot areszt.) zrabowała sklep Icka Rosensafta; piąta (1½ roku rot areszt.) zrabowała kilka sklepów; szóstą wreszcie grupę stanowili robotnicy, którzy namówili towarzyszów a opornych zmusili do przerwania zajęć w dwu fabrykach; tych skazano na 2 miesiące więzienia. Jak się okazało z procesu, rozruchy majowe, o ile objawiły się w gwałtach, napaściach i kradzieżach, nosiły charakter antiżydowski. Do wykroczeń dopomogli w znacznej mierze osiedleńcy Bałut, przedmieścia Łodzi, które jak wiadomo, są miejscem przymusowego pobytu dla złodziejów. wypuszczonych z więzienia.

Notatka statystyczna.

Praw. Wiestnik zamieścił w ostatnich numerach statystyczny obraz ludności Królestwa Polskiego. Oprócz wojsk przedstawiała ona (w roku 1890) 8,256,562 głowy, w tem mężcz. 3,977,406, a kobiet 4,279,156, czyli że na każdą setkę mężczyzn było przeszło 7 kobiet nadwyżki. W odniesieniu do przestrzeni (111,975 mil. kw.) przypada trochę więcej niż 73 ludzi. W ogólnej sumie ludność niestała wynosiła 9%, czyli 476,461 głów. Stała rozpada się na wyznania w następującym stosunku: katolików 6,214,504, prawosławnych 393,885, żydów 1,134,268, protestantów 445,013, innych wyznań 478. Rozmieszczenie tych grup nie jest równomierne. I tak prawosławni zajmują głównie gubernie: siedlecką 22,4% i lubelską 20,5½; w suwalskiej — 2,6%, w warszawskiej 0,5%, w pozostałych zaś od 0,1% do 0,3%. Protestanci zamieszkują najliczniej gubernie: piotrkowską — 12,5%, kaliską — 9,6%, suwalską — 8%, warszawską — 7,1%. W innych stanowią drobne przymieszki.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

II.

„Rural exodus.“ — Rozmiary i powody wyludniania się wsi w Anglii. — Kultura miejska w walce z wiejską. — Ostateczne następstwa. — „Wyjście ze wsi“ na lądzie europejskim.

Poprzednio, z powodu głosów w prasie niemieckiej, zastanowiliśmy się nad znaczeniem społecznem elewatorów oraz nad pewnemi dążnościami, występującemi w dziedzinie stosunków techniczno-rolnych. Teraz zwrócimy uwagę na inny objaw chwili tegoczesnej, coraz jaskrawszy w miarę tego, jak technika dzisiejsza oraz wpływy miejskie wkraczają na terytoryum wiejskie. Jest to wyludnianie się wsi, nietylko względne, tj. wzięte w porównaniu ze wzrostem ludności miejskiej, ale nawet bezwzględne, tj. rozpatrywane ze stanowiska liczebności przedstawicieli zawodu rolniczego. O tym fakcie rozprawiają teraz we wszystkich krajach Europy, a samo zjawisko staje się coraz powszechniejszem i głębszem. Czynniki, które powodują wyludnianie wsi, są rozmaicie ukształtowane w każdej niemal większej okolicy. Mamy pod ręką materyał, dotyczący właściwej Anglii (z Walią). Samo wyludnianie otrzymało tam nazwę charakterystyczną: „wyjścia ze wsi“ — *rural exodus*. Wprawdzie stosunki rolne Anglii są bardzo odmienne od europejskich pod wielu względami i w żaden sposób niepodobna ich brać za miarę przy badaniu odpowiedniej dziedziny faktów na lądzie. Atoli sprężyny, działające w wyludnianiu się wsi angielskiej, są mniej więcej te same, a różnica zachodzi tylko co do ich wzajemnego stosunku i napięcia. Jako przewodnik służyć nam będzie świeża w tym przedmiocie książka Andersona Grahama *).

Przedewszystkiem przypatrzmy się rozmiarom wyludniania, stanowiącego zjawisko nawskróś nowoczesne. „Już nie nieliczni wybrani — mówi autor — nie śmietanka młodzieży wiejskiej, nie jakiś pojedynczy i uzdolniony chłopiec lub dziewczyna z jednej rodziny wędruje do miasta, ale prąd ów przekroczył wszelkie granice. Zarówno ci, którzy mogą się przystosować do życia miejskiego, jako też inni, bynajmniej nieposiadający w tej mierze uzdolnień, porzucają narzędzia rolne i spieszą do przyjęcia udziału w walce o zarobki w miastach.“ O rozmiarach samego ruchu dadzą nam niejakie wyobrażenie następujące cyfry. Ludność Anglii w 1861 r. wynosiła 20 milionów głów, a z tej sumy na okolice wiejskie przypadało nieco mniej, niż 7½ mil. W 1876 kraj cały przedstawia ludność liczniejszą o 3 mil. osób, tymczasem na wsi jest zaledwie nieco więcej nad 7½ mil., to jest nad dawną cyfrę. W 1881 zaludnienie kraju wynosi 26 mil., z czego na wieś przypada tylko 8,3. Wreszcie ostatni spis ludności, dokonany w 1891, daje dla kraju liczbę 29 mil. mieszkańców, dla wsi zaś o 100 tysięcy przeszło cyfrę mniejszą, niż przed laty dziesięciu. Innemi słowy, w ciągu ostatniego dziesięciolecia nastąpiło bezwzględne zmniejszenie się ludności wiejskiej. Naturalnie proces ten dokonywa się z rozmaitą szybkością, zależnie od okolicy, nigdzie bowiem w ustroju społecznym nie uwidoczniają się tak silnie różne wpływy miejscowe, jak na wsi. To też Graham zatrzymuje się nad rozmaitemi miejscowościami, zwracając uwagę zwłaszcza na rdzennie wiejskie okręgi i badając w nich parafię jedną po drugiej. Dla przykładu weźmy hrabstwo Nortumberland. Warunki zarobkowania są tu lepsze, niż gdzieindziej, niema też z tego powodu szczególnie silnych podniet ku wychodźctwu; fabryki wyższymi zarobkami nie odciągają ludności od roli, agitatorzy nie sieją niezadowolenia. Nadto okolica należy do tych, w których ludność wzrasta z większą w Anglii szybkością, a wzrost ten w ostatniem dziesięcioleciu wynosi 16,7%. Jednakże tutaj widzimy znane zjawisko: w jednej np. z najbardziej ustronnych okolic hrabstwa ludność spadła o 10%, a jeśli tu i owdzie podniosła się, to bardzo słabo. Z innej znowu okolicy Graham przytacza cyfry nie mniej charakterystyczne. Było w niej 1891 r. o 167 domów mieszkalnych mniej, niż przed laty 10, jeszcze w innej o 369, lubo sama ludność nie przewyższa w obu dziesiątka tysięcy głów. Zarówno tam, gdzie zarobki są niskie, jak i tam, gdzie stoją na poziomie wysokim, gdzie rozpostarły się wielkie fermy, oraz gdzie panują drobne osady, wszędzie ludność ucieka od ziemi. Samo „wyjście ze wsi“ posiada szczególne rysy, godne uwagi. „Jednym z najgorszych objawów wychodźctwa — mówi autor — jest ponure milczenie, z jakiem ono się dokonywa. Gdyby wieśniak łaknął reformy, wypowiedziałby swoje żądania, a po urzeczywistnieniu ich pozostałby na wsi. Atoli, jak się zdaje, całkowicie opanowała go myśl rozpaczliwa, iż na wsi nie ma dlań najmniejszej przyszłości i z całym spokojem porzuca on swój dotychczasowy warsztat pracy. Hasła, w imię których usiłowano go znowu przyciągnąć do rolnictwa, zostały wynalezione dopiero przez mężów stanu i badaczów życia społecznego, którzy przewidują, iż z tego powodu ukażą się prędzej lub później bardzo poważne następstwa.“

Poznawszy samo zjawisko, przejdźmy do zbadania jego przyczyn. Za najgłówniejsze źródło wyludniania się autor uważa upadek rolnictwa w Anglii, który jest owocem współzawodnictwa amerykańskiego — jak wiadomo, już pogrzebanego przez naszą prasę. Graham przytacza wiele faktów z własnego spostrzeżenia. W 1891 r. przeszedł on wzdłuż 15 mil (ang.) w Norfolku, nie spotkawszy ani jednej fermy wydzierżawionej. W 1876—77 rozmiary gruntów, należących do *Oriel-College* w Oxfordzie, wynosiły 6,068 akrów i dawały renty około 10½ tys. funtów ster.; w 1890, pomimo iż rozmiary owej posiadłości powiększyły się niemal o 100 akrów, dochód spadł znacznie, bo o 27%. Podobnie dochód, otrzymywany przez inną instytucyę, *Guy's Hospital*, w przeciągu od 1875 do 1891 r. zniżył się o 30%. Wraz z tym spadkiem dochodów z ziemi, zdobycie i wynalezienie środków na wydzierżawienie drobnej fermy traci wszelki powab dla przedsiębiorczej i ambitnej młodzieży wiejskiej, która w tym celu widziała niegdyś główną pobudkę dla swoich zabiegów. Teraz ambicya pcha ją gdzieindziej — do założenia w miasteczku kramiku, znalezienia innego tam zajęcia. A jeżeli drobni dzierżawcy opuszczają obszary wiejskie z powodu strat, to samo i z tych samych powodów czyni robotnik, który na fermie znajdował niegdyś zarobek. Zarobki w mieście są zawsze większe, niż na wsi, a chociaż ostatecznie pracujący musi wydać na utrzymanie wszystko, jednak życie miejskie pozostawia po sobie wrażenie przyjemniejszego użycia. Ucieczka ze wsi wśród szeregów najmickich dochodzi do olbrzymich rozmiarów. „Jedynie podrostki, dziewczęta i stare pokolenie pozostało na wsi“ — tak brzmi skarga powszechna. W Hertfordshire i w hrabstwach okalających Londyn, zaofiarowanie płacy spadło do tego stopnia, że dzieci ze szkół są zatrudniane w soboty i niedziele. Nawet w nieco dalszych okolicach objawia się to samo; zwłaszcza pomiędzy kobietami uwydatnia się silnie wstręt do pozostawania przy roli i zajmowania się tą pracą, która zaczyna być uważana za pośledniejszą, upokarzającą. Najmita wiejski czuje jakiś wstręt, że jest robotnikiem rolnym, a przekonanie to, na pozór dziwne, rodzi się z porównania tej wyższości umysłowej, jaką odznaczają się żywioły miejskie, z nieruchliwością mózgu wiejskiego, jest niby owocem starcia się kultury miejskiej z wiejską. Nawet ci, którzy pozostają na wsi, porzucają dawne zwyczaje, obchody i zabawy, usiłując nadać sobie jak najwięcej ogłady miejskiej. Wyludnianie jest wprost nową postacią tego zjawiska, iż wieś „miejszczeje,“ t. j. przesiąka kulturą, którą nowoczesne miasta wyhodowały w swem łonie. Zaraza ta, jak ją zowią zachowawcze odłamy społeczne, przedewszystkiem ogarnia żywioły najinteligentniejsze. „Zapytując setki osób z najrozmaitszych okolic co do tego punktu — pisze autor — spostrzegłem zupełną jednozgodność w oświadczaniu, że najlepsi i najinteligentniejsi robotnicy pierwsi porzucają wieś i uciekają do miasta... Kiedy zaś zwracałem się do starszych wiekiem wieśniaków i pytałem o powody wychodźctwa, zwykle odpowiadali mi, że tylko głupcy pozostają, gdyż na wsi nie ma najmniejszej nadziei zarobić tyle, ażeby żyć dostatnio, że również nie ma żadnych widoków lepszej przyszłości. Rozmawiający ze mną kończył zazwyczaj wypowiedzeniem żalu, że nie udał się do miasta, kiedy był jeszcze młodszy.“ Każda pobudka, żywa i martwa, działa w tym samym kierunku. Nauczyciel budzi chęć skosztowania szerszego życia swoimi wykładami i sieje przekonanie, że wieśniak jest równie dobry, jak każdy inny, gdyż posiada mózg równej wartości. Agitator, coraz częściej zaglądający na wieś, tłomaczy najmicie rolnemu, że w społeczeństwie prawnie już nie ma i faktycznie być nie powinno żadnych baryer pomiędzy ludźmi. Na wsi w Anglii szerzy się dzisiaj non-konformizm — jest to nazwa zbiorowa dla ogółu sekt radykalnych, usiłujących rozbić dzisiejszą hierarchię kościelną i uprywatnić godność kapłańską. Są one jednocześnie szerzycielkami radykalizmu politycznego i niezadowolenia religijnego, stanowiąc rozkładowy ferment w wiosce. Kolej żelazna, która w różnych kierunkach kraj przerznęła, stanowi zarazem niejako drut, po którym biegają wiadomości o lepszych zarobkach, nowych potrzebach i owocach kultury miejskiej, a w końcu umożliwia ona tanią ucieczkę. Słowem, cały rozwój umysłowy i techniczny chwili obecnej odciąga *Hodgea* (takiem nazwiskiem ochrzczony jest wieśniak angielski) od rolnictwa. Jesienią w 1891 — opowiada autor — zwiedziłem umyślnie jedną z ustronnych parafij wiejskich. Na niewielkim cmentarzyku oglądałem grobowce, które napisami swoimi dowodziły, że ojciec i syn, matka i córka, całe pokolenia żyły mniej więcej w pobliżu miejsca, gdzie się urodziły. Dzisiaj zgoła inaczej dzieje się z ich dziećmi. Potomkowie ojców, którzy siedzieli w parafii od wieków, rozbiegają się w najrozmaitsze strony: jeden orze pługiem parowym pola pszeniczne Kanady, inny ugania się za trzodami w Australii, jeszcze inni są w drodze do N. Zelandyi lub Kaplandu, największa jednak żyje w rozproszeniu, w najrozmaitszych miastach Anglii, jako wyrobnicy, służba kolejowa, kramikarze. Wraz z ludnością wiejską, ale o wiele szybciej, znikają rzemieślnicy i przekupnie prowincyonalni. Łatwość komunikacyi pociąga za sobą łatwość dowozu i odbiera im na wsi zarobek. W ten sposób wieś pustoszeje pod każdym względem. Zamiast drobnych ferm, na które brak dzierżawców, ukazuje się z konieczności wielki folwark, prowadzony przez właściciela na własną rękę. Brak robotników i wynikająca stąd drożyzna pracy zmusza go do zastosowywania różnych maszyn, które bez tego długo jeszcze musiałyby czekać na swoje wcielenie w życie. A zatem dzisiejsze wyludnienie wsi pozostawia po sobie, jako niezbędne następstwo, coraz dalej idącą centralizacyę upra-

*) P. Anderson Graham: *The rural Exodus. The problem of the village and the town.* Londyn.

wy gruntów i zastosowanie wynalazków technicznych. Dzięki tym okolicznościom nizki poziom ludności wiejskiej, będący takim jeszcze w chwili dzisiejszej, może jutro stać się już zjawiskiem normalnem, z którem w zgodzie najzupełniejszej będzie technika uprawy. Wreszcie na ostatnim kresie tego rozwoju ukazują się stosunki, istniejące już dzisiaj na wielką skalę w folwarkach kapitalistycznych „dalekiego Zachodu" Ameryki północnej. Wśród olbrzymich przestrzeni wznoszą się tutaj zabudowania folwarczne, a pomiędzy niemi jedno z pierwszych miejsc zajmują te, które służą do przechowywania maszyn. W ciągu zimy na folwarku mieszka zaledwie kilka osób, nawet bydło wypędza się do stepów, niekiedy odległych o kilkaset kilometrów. Orka, zasiewy, uskuteczniają się nader szybko dzięki zastosowania maszyn. Kiedy potrzeba robotników, sprowadza się ich z miasta w liczbie odpowiedniej, dochodzącej niekiedy do tysiąca głów, buduje się dla nich baraki. Po ukończeniu zajęć nastaje znowu dawniejsza pustka.

Graham, po rozejrzeniu się w samem zjawisku, przechodzi do środków zaradczych. Podawane przezeń leki posiadają dla nas względnie małe znaczenie, tembardziej, że on sam nie wie, co począć, a jednocześnie chciałby radzić, gdyż ze swego stanowiska patrzy na wyludnianie się wsi, jako na fakt natury chorobliwej. Zaznaczymy tylko, iż danie ludności wiejskiej drobnych działów uważa za środek zaradczy gorszy, niż istniejąca dzisiaj dolegliwość. Pozostawiwszy Grahama z jego kłopotem, musimy zaznaczyć, że bezwzględne wyludnianie się wsi jest zjawiskiem, właściwem całej Europie. Pomijam Francyę, gdzie ono zagraża całemu krajowi i zatrzymam się nieco nad Niemcami. Procesowi temu ulega już dzisiaj Meklemburgia, Waldeck i Alzacyo-Lotaryngia. Kiedy od 1871—1890 ludność Saksonii podniosła się o 37%, Reussu o 39% itd., Maklemburgii nieco więcej niż o 1%, Waldecku o 1,9%, Lotaryngii o 3,5%. Gdybyśmy wzięli ostatnie pięciolecie, mielibyśmy już wyludnienie. Jeżeli teraz przejdziemy do Prus, ujrzymy, że w ciągu lat 1886 — 1890 ludność Wschodnich spadła o 1343 głów; podobnie z trzech okręgów Pomorza dwa wykazują 1%-wą zniżkę; to samo w połowie powiatów Prus Zachodnich. Ludność wiejska zmniejszyła się liczebnie w 19 z ogólnej liczby 32 powiatów Brandeburgii, w 25 z 40 Poznańskiego, 40 z 61 Szląska itd., a tymczasem Westfalia, okręg fabryczny, zgoła nie zna tego zjawiska. Jak więc widzimy, „wyjście ze wsi" jest właściwością nie tylko Anglii, ale też innych krajów i stanowi wytwór rozwoju kapitalizmu.

K. R. Ż.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ceny chmielu. P. W. J. Stankiewicz w nr. 28 *Rolnika i hodowcy* zamieścił artykuł, zawierający kilka uwag i przestróg dla hodowców chmielu. Powtarzamy go tutaj w streszczeniu. W kampanii ostatniej 1891—1892 r. kraj nasz po raz pierwszy wystąpił na szerszą arenę handlu międzynarodowego chmielem, i to jako producent nader poważny. Chmielu wyprodukowano bardzo wiele, nie zapewniwszy sobie rynków zbytu. We wrześniu i październiku położenie chmielarzy było rozpaczliwe. Przez czas trwania jarmarku dopełniono zaledwie kilku tranzakcyj pomniejszych. Składy bankowe były przepełnione chmielem, a nabywców nie było. Dopiero po długiem oczekiwaniu zaczęli się zjawiać nabywcy, płacąc jak gdyby z łaski od 6 do 10 rs. za pud. Tymczasem w Norymberdze zapanowała gorączka chmielarska na giełdzie. Dowiedziano się tam o zapasach w naszym kraju i wówczas zjawili się kupcy zagraniczni. Rozpoczęła się licytacya; ceny chmielu dosięgły 20 rs. za pud. Było to w końcu grudnia i na początku stycznia r. b. W miesiąc potem znowu zapanowała cisza, a z wiosną popyt wzrósł znowu. W ten sposób produkcya chmielu uniknęła... użycia na nawóz, jak to się czasem zdarzało. Tak było podczas ubiegłej kampanii. Jak będzie w rozpoczynającej się nowej, trudno przewidzieć. Urządzając jarmark, miano na celu utorowanie drogi zbytu dla producentów, oraz unormowanie cen względnie do zapotrzebowania. Dotychczas wszakże zdarzają się kombinacye, tym celom wręcz szkodliwe. Już poczynając od lutego, wielu producentów spienięża plon spodziewany po 8 do 12 rs. za pud. Rok zeszły wykazał zawodność tych przedwczesnych sprzedaży. Najpoważniejsze firmy, gdy przychodziło do odbioru chmielu i dopłaty należności, zrywały umowę, pod pozorem, że chmiel nie odpowiada wymaganiom, groziły procesem sądowym i zwykle uzyskiwały zniżenie cen o połowę. Z drugiej strony, gdy urodzaj nie dopisze, ceny podskoczą, i zakontraktowany chmiel trzeba będzie odstąpić za cenę umówioną, znacznie niższą od bieżącej. Z tych względów p. Stankiewicz przestrzega ziemian, aby kontraktów przedwczesnych nie zawierali, a chmiel swój wieźli na jarmark do Warszawy.

— Departament rolnictwa określa urodzaj tegoroczny w państwie, bez Królestwa Polskiego i Kaukazu, na 112,000,000 czetwerti żyta, czyli 95% średniego zbioru i na 9,000,000 pszenicy ozimej, czyli 75%.

— Ogłoszono ustawę kowieńskiego towarzystwa zakupu i zbytu artykułów gospodarstwa wiejskiego.

— W Warszawie, jak dowiaduje się *Gaz. Handlowa*, wkrótce powstanie wielka fabryka wyrobów tkackich. Założycielami są przemysłowcy francuscy.

— Na drogach żel. południowo-zachodnich zniżono taryfę od przewozu win besarabskich.

— Na wybrzeżach Donu odkryto znaczne pokłady srebra, ołowiu i cynku.

— Asystent uniwersytetu krakowskiego p. Maryan Raciborski zwraca uwagę, że w kotlinie nowotarsko-orawskiej znajdują się, prawie na powierzchni ziemi, pokłady węgla brunatnego, blizko dwa metry grube.

— Ze stacyi Opoczno dr. żel. Dąbrowskiej handlarze tutejsi wysyłają po kilka wagonów miesięcznie jaj kurzych i kaczych do Berlina, gdzie są urządzone sortownie jaj. Również całemi wagonami transportują jaja z Kielc do Berlina.

— W tych dniach ma być wykończony oddział herbaciany z suszarnią i wentylatorami przy warszawskiej komorze celnej. Banderolowanie herbaty rozpocznie się dnia 15 b. m. Dotychczas oddziały takie przy komorach istniały tylko w trzech punktach państwa.

Z rynku.

Giełda. W pierwszym tygodniu b. m. giełdy europejskie zachowywały się obojętnie. Zapanowała zupełna cisza w interesach, pieniądz utracił pozornie swą wartość. W Berlinie nie mogła się utrzymać nawet $1\frac{1}{2}$% stopa dyskontowa, a w Anglii dyskonto spadło na $^3/_4$—$^1/_2$% w stosunku rocznym. Pocieszające wieści o urodzajach i rychła możność ich zrealizowania, spodziewane lada dzień otwarcie granicy dla wywozu żyta, wreszcie wiadomość o zawiązaniu rokowań o zniżenie cła wchodowego od zboża do Niemiec — korzystnie oddziałały na kurs rubli, który się podniósł do 208; skutkiem spekulacyjnych sprzedaży nastąpiła wprawdzie drobna reakcya, lecz usposobienie pozostało mocne. W ostatnich dniach (9 b. m.) kurs znowu się podniósł, dosięgając 209 m. za 100 rs.

Targi zbożowe. Warszawa, 10 sierpnia. Na st. Praga dr. żel. Warszawsko-Terespolskiej, całemi wagonami za pud: pszenica 98—117, słabo; żyto 67—85, słabo; owies 84—98, słabiej; jęczmień na kaszę 80—85, na paszę 67—74, spokojnie; gryka 118—120, mocno; kasza jaglana 115—135, bez zmiany; kukurydza 65—67, słabo; groch bez obrotów. Usposobienie targu spokojne. W magazynach tranzytowych pozostaje 181 wagonów, w tem 20 wag. żyta, 14 owsa, 6 mąki żytniej, 10 pszennej, 14 kartoflanej, 4 z kukurydzy, 29 kaszy jaglanej, 7 gryczanej, 37 pszenicy, 26 jęczmienia, 2 ryżu, 1 grochu, 2 gryki, 1 fasoli, 4 kukurydzy.

Na placu Witkowskiego: Pszenica 575—735, żyto 440—500, owies 285—335.

Ceny okowity. Warszawa, 10 sierpnia. Brutto z potrąceniem 2%: hurtowa w. 100⁰—10,96[15], w. 78⁰—8,55; szynkowa w. 100⁰—11,11[15], w. 78⁰—8,66[5]; netto bez potrącenia: hurtowa w. 100⁰—10,74[3], w. 78⁰—8,37[9], szynkowa w. 100⁰—10,89, w. 78⁰—8,49[3]. Ceny Warszawskiego Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu w ciągu zeszłego tygodnia netto, bez żadnych procentów, *loco* Rektyfikacya (ul. Dobra N. 18) za wiadro 100⁰—10 rs. 75 kop.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Odezwa.

Oberpolicmajster m. Warszawy, stosownie do otrzymanego telegramu od p. ministra spraw wewnętrznych, wzywa pp. lekarzy i studentów-medyków IV i V kursu, pragnących udać się do miejscowości nawiedzonych cholerą, celem walczenia z tą chorobą, aby zgłosili się do kancelaryi tegoż oberpolicmajstra dla otrzymania części kosztów podróży i urządzenia, wynoszącej dla lekarzy rs. 200, a dla studentów rs. 100. Lekarze, oprócz tego, otrzymają na przejazd do Petersburga rs. 50, studenci zaś rs. 25, poczem bezzwłocznie powinni udać się do Petersburga i zgłosić się do departamentu lekarskiego ze stosownem zaświadczeniem. Lekarze i studenci, pragnący udać się wprost do miejsc nawiedzonych cholerą, odesłani zostaną do dyspozycyi gubernatora samarskiego, po zaliczeniu im na przejazd i urządzenie: lekarzom rs. 420, a studentom rs. 255. Ogólne warunki dla osób pragnących być delegowanemi do walki z cholerą, są następujące: lekarze w stopniu sztab-oficerów otrzymują: a) na urządzenie rs. 450, b) na przejazd do miejsca przeznaczenia, za każde 1,000 wiorst rs. 75 i c) płacy miesięcznej rs. 115; lekarze w stopniu ober-oficerów: a) na urządzenie rs. 300, b) na przejazd za każde 1,000 wiorst rs. 50 i c) płacy miesięcznej rs. 100, a studenci: a) na urządzenie rs. 200, b) na przejazd po rs. 25 za każde 1,000 wiorst do miejsca przeznaczenia i c) płacy miesięcznej rs. 60.

Warsz. Dziennikowi donoszą z Hrubieszowa:

Kilka dni temu miejscowa ludność żydowska, podmówiona przez podżegaczów i wzburzona przez fałszywe pogłoski, nietylko że naruszyła spokojność publiczną, ale nadto dopuściła się samowoli. Za powód do tego posłużyła następna okoliczność. Przed niejakim czasem na cmentarzu, jakby z pod ziemi, wyrósł mur, wysokości około sążnia, mający oczywiście służyć za ogrodzenie części tego cmentarza. Z czyjego polecenia i czyim kosztem dokonano budowy, pozostało, jak się zdaje, rzeczą niewyjaśnioną i władze zobaczyły mur wówczas, kiedy już był wykończony. Mówią, że zbudowany on został z funduszów jakiegoś potajemnie istniejącego żydowskiego bractwa pogrzebowego. Naczelnik powiatu, upatrując zupełnie słusznie w tym fakcie samowolę miejscowych żydów, polecił magistratowi zburzyć niewiadomo przez kogo wzniesiony mur, zaś członkom dozoru bóżniczego oświadczono, że jeżeli gmina żydowska życzy sobie mieć murowane ogrodzenie na swoim cmentarzu, na to może uzyskać pozwolenie, ale nie inaczej, jak na podanie dozoru bóżniczego, z warunkiem, aby robota dokonywała się z wiadomego funduszu i pod dozorem budowniczego powiatowego. Rano, d. 22 lipca, kiedy robotnicy przystąpili do rozbiórki muru, żydzi rzucili się na nich tłumnie i rozpędzili, rzucając kamieniami. Ale na tem się jeszcze nie skończyło; około południa przed zarządem powiatowym zebrał się tłum około 100 żydów, z krzykiem i utyskiwaniem, że cmentarz burzą i niszczą mogiły ich ojców i dzieci. Przez ten czas żydzi podżegacze robili swoje i biegali po ulicach, zmuszając nawet rozsądnych swoich współwyznawców do zamykania sklepów i pomnożenia tłumu swoją obecnością, tak, że niebawem tłum żydów wzrósł do 1,500—2,000 ludzi. Członkowie dozoru bóżniczego, nie ciesząc się sympatyą ludności, nietylko nie wpływali na uspokojenie swoich współwyznawców i na rozejście się, ale się nawet sami pochowali z obawy, ażeby i ich nie pobito.

Tłum wszakże był tyle rozważny, że usłuchał perswazyj przedstawicieli władzy i uległ rozkazowi rozejścia się. Wypadek ten raz jeszcze dowiódł, że ciemna masa żydowska zawsze jest skłonniejsza do dawania wiary intrygom, niż członkom swojego dozoru, jeżeli ci ostatni są ludźmi sumiennymi. Członkowie dozoru bóżniczego, zamianowani w r. z. przez władze z liczby zamożnych i godnych szacunku żydów, nie cieszą się w Hrubieszowie powagą i wpływem. Powagę tę posiada po dawnemu jakaś banda byłych „dozorców,“ bractwo pogrzebowe itp. Partya ta składa się z kilku dziesiątków ludzi gotowych i zdolnych do wszystkiego, sprawia zamieszanie między żydami, przy wyborach na członków dozoru ucieka się do pogróżek, a czasem nawet do bójek, a ludność ubogą przynęca do siebie drobnymi datkami pieniężnymi. Ci to właśnie nielegalni przywódcy żydowstwa hrubieszowskiego wywołali opisane wyżej zawichrzenia.

LECZENIE W CHOLERZE

według Chałubińskiego.

Po wzmiance naszej w jednym z poprzednich numerów *Prawdy*, wielu jej czytelników, zwłaszcza zamieszkałych w Cesarstwie, zażądało nabycia dla nich broszurki Chałubińskiego o „leczeniu w cholerze.“ Ponieważ broszurki tej nie ma już w handlu księgarskim, a opinia genialnego praktyka, który zwalczał kilka epidemij, zachowała dotąd swoją wielką wagę, powtarzamy więc ją w głównym wywodzie.

Faktem czysto empirycznym, nieulegającym żadnej wątpliwości, ani wyjątkom, jest:

że począwszy od okresu wstępnego (stadium prodromorum) aż do akme okresu depresyjnego (tak zwanego stadium algidum), ilekroć uda się wywołać wymioty żółciowe, rokowanie staje się bezwarunkowo lepszem.

W okresie wstępnym, czy tenże trwa już dość długo, czy bardzo krótko; czy ujawnia się tak zwaną choleryną, czy tylko uczuciem niezwykłego osłabienia, z wyraźnym po większej części upadkiem energii krążenia (co najpierw podmiotowo daje się dostrzedz w twarzy, a najbardziej w oczach, gdyż zdradza się pewnym lekkim odcieniem siności naokoło oczu), po wywołaniu obfitych wymiotów żółciowych *po większej części* wszelkie objawy ustępują *bardzo szybko*: krążenie wraca do zwykłej energii i w przypadkach nawet cięższych w przeciągu doby chorzy przychodzą zupełnie do siebie. W niektórych tylko, więcej już zaniedbanych razach t. zw. choleryny, może być w następstwie *prawdziwie* użytecznem użycie lekkich *opiatów*. Zadawanie zaś makowca we wszystkich przypadkach choleryny bez uprzedniego wywołania *żółciowych* wymiotów jest zwodniczem. Dopóki bowiem krążenie jeszcze z jaką taką siłą się odbywa, dopóty biegunka może na chwilę się zmniejszyć, lecz *nigdy* makowiec nie zapobiega rozwinięciu się napadu cholery przy znaczniejszym stopniu zakażenia, ani też nie wpływa na zrobienie napadu lżejszym lub mniej niebezpiecznym. Owszem obserwacye, na wielkiej ilości chorych prowadzone, stwierdziły, że stosownie do natężenia epidemii liczba przypadków, dochodzących do okresu odczynu, nie jest wprawdzie ani większą ani mniejszą u chorych, którzy nie brali makowca, aniżeli u tych, którzy go brali w okresie wstępnym lub w początkach napadu, lecz że przebieg choroby w okresie reakcyi (*resp.* t. zw. tyfoidzie cholerycznym) daleko jest cięższym i bez porównania większą daje śmiertelność u tych chorych, którym dawano makowiec (zwykle wskutek zaburzeń cerebralnych).

W przypadkach już nieco zaniedbanych, przy dłużej trwającej biegunce, wydatniejszem osłabieniu krążenia, jednak przy wyczuć się jeszcze dającem tętnie, wzbudzenie wymiotów żółciowych jest już bez porównania trudniejszem, chociaż jeszcze nie niemożliwem. W takich razach po wywołaniu wymiotów żółciowych przychodzi wprawdzie do samego napadu (*cyanosis prostratio*, mniej więcej wyraźne kurcze nóg), tętno jednak nie ginie zupełnie i napad nie bywa śmiertelny.

W samym, zupełnie już rozwiniętym napadzie wywołanie wymiotów żółciowych jest albo zupełnie niemożliwe, albo przynajmniej niezmiernie trudne i rzadkie. O absorbcyi lub działaniu jakichbądź środków na zakończenia nerwów żołądka lub kiszek nie może być mowy przy zupełnem zniknięciu tętna i przy charakterystycznych, nadmiernych wydzielinach żołądka i kiszek. Jeżeli jednak stan ten nie zabija w ciągu niewielu godzin i jeżeli, co się dość często zdarza, są chwile, w których tętno choć bardzo słabo i na krótko tylko wyczuć się znown daje; jeżeli, co zwykle razem przychodzi, pauzy pomiędzy wymiotami surowiczemi i charakterystycznymi stolcami są trochę dłuższe, bywa jeszcze niejaka szansa działania środków wymiotnych. Wiemy, iż zdarzają się epidemie, w których taki przeciągły, jeżeli tak nazwać można, przebieg bywa dość częstym. Rzecby można, iż okres depresyjny (*stadium algidum*) nie wyczerpuje się odrazu, ani nie dochodzi do najwyższego stopnia w pierwszej chwili, że reakcya także nie następuje wydatna, zupełna, ale że po pewnym czasie następuje znów dalsza depresya i ostatecznie po mniej lub więcej licznych powtarzaniach się takich wahań (oscyllacyj) napad zabija jednakże (niekiedy po kilku dniach trwania choroby). Otóż, gdy dopilnujemy takich chwil cząstkowej reakcyi, lub, jeśli kto woli nazwać, cząstkowego zelżenia napadu, a energicznem postępowaniem zdołamy wywołać wymioty żółciowe, już następnie tętno nie zniknie zupełnie i chociaż dalszy przebieg może być jeszcze uciążliwym, zyskujemy jednakże czas i możność dalszego działania.

Niech nam wolno będzie przypomnieć tu o owej charakterystycznej, najodważniejszych ludzi owładającej obawie cholerycznej. Nie zależy ona bezwarunkowo od naszej woli, ani jej nie można brać za jedno z obawą hipochondryków. Raczej skłonni bylibyśmy uważać ją, jeżeli nie za pierwszy znak rozpoczynającego się zakażenia, to przynajmniej za dowód indywidualnego usposobienia do łatwiejszego przyjęcia zakażenia. Otóż, dla nas sama obecność tej nadmiernej mimowolnej obawy stanowi wskazanie do użycia środków wymiotnych, i nie pamiętamy przypadku, aby po wywołaniu należytych wypróżnień żółciowych, obawa ta nie ustała *natychmiastowo*.

Prawie zbytecznem jest przypominać tu raz jeszcze, że wszystko, cośmy powiedzieli o wpływie wymiotów żółciowych na rokowanie, odnosi się tylko do okresu wstępnego i depresyjnego. Wymioty dobrowolne, nawet żółciowe, przy tyfoidzie cholerycznym są zupełnie innej natury, zależą od podrażnienia (*resp.* zapalenia) żołądka. Myliłby się, ktoby sądził, że zdarzają się one najczęściej u osób, które dość wcześnie użyły ze skutkiem środków pobudzających wymioty. Owszem, przychodzą one głównie w następstwie gwałtownego napadu i występują z innymi znakami zapalenia (*gastro-enteritis*) wyłącznie u osób, które nie używały womitoryów.

Dla wywołania wymiotów żółciowych najlepszym środkiem okazały się proszki, złożone z emetyku (*0,05*) *i ipekakuany* (*od 0,50 do 1,00*), co kwadrans lub 20 minut, aż do skutku.

Częstokroć, zwłaszcza w okresie wstępnym, dostateczną jest jedna dawka; jeśli jednak zrzucona będzie za prędko bez pokazania się mas żółciowych, daje się drugą lub i trzecią.

W przypadkach, w których tętno jest jeszcze nie bardzo osłabione (niezbyt małe i niezbyt częste), sam emetyk w roztworze (0,05 na 30,00 wody, co kwadrans po łyżce), może być użyty bez żadnej obawy. Wypróżnienie stolca wodniste, zdarzające się u niektórych osób po użyciu emetyku przy zbytniej wrażliwości kiszek, są bezwarunkowo innej natury, niż choleryczne i łatwo ustają przy środkach łagodzących. Tylko więc z powodu trudnego oceniania jakości tętna przez nielekarzy, a przeto jako środek *ogólniejszego zastosowania*, proszek powyższy (*vomitorium compositum*) jest wygodniejszy.

Prócz przepukliny uwięzionej *volvulus*, stłuszczenia serca i *meningitis* lub *encephalitis*, do których to chorób ewentualnie może także przyłączyć się napad choleryczny, jedno tylko istnieje przeciwwskazanie do wzięcia *vomitorium*, to jest powikłanie rozpoczynającego się ataku cholerycznego z istniejącem poprzednio czynnem podrażnieniem żołądka i kiszek (*gastritis*, *gastro-enteritis*). (Jako najwydatniejsze znaki już dla nielekarzy: język suchy, czerwony, ból w dołku i brzuchu, powiększający się za dotknięciem). Oprócz tego żadne inne ogólne przeciwwskazania nie istnieją.

Wszelkie zarzuty, wszelkie rozumowania co do ewentualnych szkodliwych następstw z użycia *vomitorium*, są płodem uprzedzeń teoretycznych, którym praktyka bezwarunkowo kłam zadaje.

Tak samo jak to, że wymioty i biegunka cholerycznie, tak odmienne od wszelkich innych przypadłości tego rodzaju, nie sprzeciwiają się użyciu środków wymiotnych, tak samo znowu ograniczenie użycia tych środków do przypadków t. zw. *gastrycznych* czy *dyspeptycznych* jest stanowczo błędnem. Prawda, że największa część zapadających na cholerę ostatecznie wywołuje lub przyspiesza napad jakąś nieostrożnością w jedzeniu lub piciu, ale bynajmniej nie jest to ogólną regułą i myliłby się bardzo, ktoby sądził, że tylko jakaś wydatna nieostrożność, odbijanie, niesmak w ustach, język obłożony itp. mają być prawdziwą wskazówką użycia *vomitorium*. Wskazaniem prawdziwem jest samo zakażenie, czemkolwiek by się zdradzało.

(D. n.).

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Majątek hr. Zamojskiej, Krasnopol w gub. wołyńskiej nabyli włościanie, przy pomocy banku włościańskiego, który udzielił im 100,000 rs. pożyczki.

— Kilku kapitalistów warszawskich zawiązuje spółkę w celu budowy domów dla robotników i ludzi niezamożnych. Domy te mają być pobudowane w liczbie 10 przy ul. Złotej i Siennej poza Sosnową.

— Dnia 31-go z. m. odbyło się ogólne zebranie warszawskiego zgromadzenia drukarzy. Po odczytaniu sprawozdań, stawiano wnioski i ogłaszano uchwały. Najważniejszym był następny wniosek p. Zejdowskiego: „Ponieważ urząd starszych robi trudności w wypisywaniu uczniów, przez co tworzy się proletaryat, psujący ceny zecerom, a niektórzy właściciele drukarń posiłkują się wyłącznie pracą uczniów, bądź pozostających na praktyce, bądź niewypisanych, przez co zecer wykwalifikowany jest pozbawiony pracy, należy, aby urząd starszych wszystkich uczniów zakwestyonowanych wypisał, zawiesił przyjmowanie uczniów na praktykę przynajmniej przez przeciąg lat pięciu, a następnie przyjmował tylko takich, którzy okażą świadectwo z ukończenia 4 klas.“ Wniosek ten ma być przedstawiony p. prezydentowi miasta. W końcu posiedzenia odczytano regulamin projektowanej kasy pożyczkowo-wkładowej.

— Zakład sierot i ubogich im. St. hr. Skarbka w Drohowyżu pod Lwowem liczył w r. z. 410 dzieci i 73 starców. Koszt ich utrzymania wynosił 98,154 złr.

— Komisya kolonizacyjna kupiła w pow. gnieźnieńskim od p. Kalksteinowej majątek Mieleszyn, obejmujący 500 hektarów, Kikowo i Nojewo (1,330 hekt.), Ulanowo (1,700 morgów), oraz w pow. pleszewskim majątek Karmin.

— Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej podpisał prawo, ograniczające ilość godzin pracy robotników w kopalniach, fabrykach i warsztatach, należących do skarbu, do ośmiu godzin dziennie.

— Zgodnie z wnioskiem p. Głównego Naczelnika kraju, ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę ruskiego Towarzystwa cyklistów w Warszawie.

— Z gub. płockiej wyemigrowało od początku roku czerwca r. b. około 300 rodzin. Najwięcej wyemigrowało z pow. przasnyskiego (75 osób).

— P. oberpolicmajster m. Warszawy zawiadomił, iż prawo do prowadzenia robót ciesielskich i mularskich w Warszawie posiadają: 44 majstrów ciesielskich i 34 mularskich, należących do cechów odpowiednich, 5 majstrów ciesielskich i 11 mularskich, nie należących do cechów, oraz majstrowie, przybywający z gubernij wewnętrznych państwa i z zagranicy.

Szkoły. Na rektora uniwersytetu berlińskiego wybrano znakomitego patologa niemieckiego prof. Rudolfa Virchowa.

— Od zbliżającego się roku szkolnego zacznie obowiązywać nowa ustawa dla szkół technicznych kolejowych. W każdej szkole będzie po 15 miejsc bezpłatnych dla dzieci rodziców ubogich.

Sprawy kolejowe. W *Prawit. Wiestn.* ogłoszono przepisy o składaniu i rozpatrywaniu budżetów eksploatacyjnych dróg żelaznych prywatnych.

— Plant nowej drogi żel. od Łap przez Ostrołękę do Małkiń jest już ukończony; brak tylko kilku mostów. W każdym razie ruch pociągowy rozpocznie się przed zimą r. b.

Kanał panamski ma być w dalszym ciągu budowany przez syndykat bankierów paryskich, którzy chcą natychmiast przystąpić do robót, aby uchronić od wygaśnięcia przywilej, wydany na tę budowę.

Zdrowie publiczne. Dnia 19 z. m. w laboratoryum d-ra O. Bujwida dokonano analizy wody wodociągowej w różnych stopniach jej oczyszczenia. Woda niefiltrowana z rury prowadzącej do osadnika, zawierała w 1 centymetrze sześciennym 560 bakteryj, po ustaniu się w osadniku 300 bakteryj, filtrowana przez 4 dni 55 bakteryj, filtrowana ze zbiornika 10 bakteryj, filtrowana z kranu na ul. Lipowej 500, a na ul. Bednarskiej 60 bakteryj.

— Towarzystwo zakładów górniczych „Huta Bankowa“ buduje w kolonii Reden stały szpital na 60 łóżek, z mieszkaniem dla lekarza i felczera, oraz kaplicą.

— *Medycyna* zwraca uwagę, że w ostatnich tygodniach ukazała się w Warszawie krwawa biegunka (dysenterya), w rozmiarach, dawno nie spostrzeganych i z przebiegiem dość ciężkim.

— W Winnicy w gub. podolskiej, jak donosi *Prawit. Wiest.*, będzie zbudowany szpital dla obłąkanych kosztem 720,000 rs., w połowie z funduszów ministeryum spraw wewnętrznych, a w drugiej połowie z funduszu podatkowego ziemskiego gub. kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej.

Cholera. Według *Prawit. Wiestnika*, do 1 sierpnia zmarło w Rosyi na cholerę 23,919 osób. Najwięcej ofiar miał Kaukaz (7,887), następnie gub. astrachańska (4,416), okręg doński (2,959), kraj zakaspijski (2,884), gub. saratowska (2,324), samarska (2,027) itd.

— *Praw. Wiest.* ogłasza, iż do dnia 5 b. m. zachorowały w Moskwie na cholerę 24 osoby, zmarło 10; tegoż dnia w Niższym Nowogrodzie zachorowało 64, zmarło 38, wyzdrowiało 48; w gub. niższo-nowogrodzkiej zachorowało 46, zmarło 28, wyzdrowiało 20. Gubernator Baranow oraz prezes komitetu jarmarcznego przesłali do przewodniczącego komitetu giełdowego moskiewskiego telegram następujący: „Usilnie prosimy ogłosić na giełdzie, że epidemia choleryczna słabnie i na jarmarku żadnego niebezpieczeństwa niema.“

Zjazd. W drugiej połowie z. m. w Brodach odbył się zjazd Towarzystwa pedagogicznego. Obradowano głównie nad polepszeniem bytu nauczycieli. Sprawami czysto pedagogicznemi od pewnego czasu mniej się zajmują uczestnicy zjazdów. Między innemi uchwalono, iż członkowie Towarzystwa będą otrzymywali jego organ za połowę ceny. Opuszczają swoje stanowiska prezes Towarzystwa, Z. Sawczyński i T. Gerstman, wice-prezes. Na ich miejsce wybrano Jerzego ks. Czartoryskiego, nieznanego zupełnie na polu pedagogicznem, a więc zapewne tylko dla... reprezentacyi, oraz p. L. Dziedzickiego, dyrektora seminaryum nauczycielskiego żeńskiego we Lwowie. Następny zjazd odbędzie się w r. p. w Tarnopolu.

Wystawa. Dnia 18 b. m. będzie otwarta pierwsza wystawa bulgarska w Filipopolu, mająca wykazać postęp kraju pod względem cywilizacyjnym za ostatnich lat 15.

Pożary. Dnia 3 b. m. spaliła się w Turynie wielka przędzalnia Mazzoniego z sąsiedniemi domami; straty przenoszą 2,000,000 fr.

— We wsi Górki Hrubaki pod Węgrowem ogień zniszczył 102 budynki, ubezpieczone tylko na 7,440 rs.

— W Tomaszowie Rawskim dnia 30-go z. m. zgorzała przędzalnia T. Langego. Straty wynoszą 100,000 rs. Robotnicy pozostali bez zarobku.

— W Nakwasinie w pow. kaliskim spalił się dwór i wszystkie budynki gospodarskie.

— W Zabierzowie pod Krakowem spaliło się kilkadziesiąt domów włościańskich i część zabudowań dworskich.

— Osadę Baranów w pow. lubelskim nawiedził pożar, który pochłonął kilkadziesiąt gospodarstw; straty wynoszą około 35,000 rs.

— W osadzie Praszki w pow. wieluńskim pożar z podpalenia zniszczył przeszło 20 budynków, zrządzając szkód około 30,000 rs.

Wypadki. W nocy z dnia 24 na 25 z. m. w Znaimie na Morawach runęła wieża Zbójecka z XII wieku, zburzyła kilka budynków sąsiednich i pogrzebała w gruzach 6 osób.

Zmarli. Jan Macgregor, podróżopisarz angielski, urodzony 1825 r. w Gravesend.

— Karol Juliusz Minter, przemysłowiec warszawski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu St. Ik. w B. Projekt pański, ażeby Towarzystwo kred. za milion rs. nabyło i wzorowo urządziło dobra, mające służyć za „schronisko“ dla wydziedziczonych, jest tak fantastyczny i (pomijając nawet „kuponowiczów“) tak filantropijny cudzym kosztem, że go polecać uwadze naszych czytelników nie możemy.

P. Sos. w Raz. Wiadomość, o którą Panu chodzi, zaczerpnęliśmy z N. 29 *Wszechświata* z r. b. str. 464. *Wszechświat* wskazuje jako źródło *Scientific American*. Próbę odbyto dnia 26 lutego r. b.

Panu Wikt. Staw. w Blankenberghe. Odesłaliśmy wraz z marką „Przegl. Pedagog.“

Panu M. Gebotsz. w Zawierciu. Jaki list?

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 31 Іюля 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.